

K. Witek '97

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej i Armii Krajowej Siłyby Polek"  
87-100 Toruń, ul. W. Gąsienicy 2  
tel.: 65-22-188, e-mail: archAK@um.torun.pl  
REGON 870502738

MEMORIAL  
General Marii Wittek



adres:  
920021202

okresowo:  
W-wo.

zob.  
T. 614/WSK

AK  
W-wo.

KOWALSKA ANIELA

ps. "JANKA"

615<sub>1</sub>/WSK

J. 615/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI —

Kowalska

Aniela

ps. „Janka”

**I. Materiały dokumentacyjne**

- I/1 – relacja właściwa ✓ K. 56, s. 56
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

**II. Materiały uzupełniające relację**

✓ K 10, s. 10

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):** —

- III/1 – dot. rodziny relatora —
- III/2 – dot. ogólnie okresu przed 1939 r. —
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945) ✓ K 8, s. 8
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —
- III/5 – inne... —

**IV. Korespondencja** —

**V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]** ✓ M

**VI. Fotografie** ✓

ndo. II - 7-10

I/1. Relacja własna:

- Relacja - wspomnienia z lat wojny i okupacji Aniela Kowalskiego "Janek" str. 28 + 4. Dwie pierwsze kartki (strony) ręk. pozostała maszynopis. Gredyga 7. III. 1977. Kserokopia k. 32, s. 32
- Wspomnienie z lat wojny i okupacji Aniela Kowalskiego z dn. 15. września 1974r. (wpięty do Archiwum E. 2. z 10. 1978r). Ręk. Kopia, oryg. k. 24, s. 33-56.



zam. <sup>56-700</sup> ~~Trudniak~~ ul. Boża Komorowska 10/22 86-300 5/1/1  
okresowo przyjeżdża m. Warszawa

00-666 Warszawa

Wspomnienia

z lat wojny i okupacji

ph.m. Aniela Kowalska emerytowana

nauczycielka II Liceum Ogólnokształcącego

w Goudkiszach

była instruktorką Pomorskiej

Chorągwi Harcerskiej

Korekta i nepetinėme str. 15  
str. 15A

ru 1999. 2/1/2

To co įrašėme ne str 15 nie byto dobtadine žpauke  
i faktant. Fioze i formente ur 1977 kskeliam šie  
maršas Antri kopokol... 1949  
Nr 1949 Na ul. Polnet sioste moje šone kovate priešinga

spokata inuyniere Stamonire Klublikių architektika  
tehoje architektika tomas Butere  
kolege manes tuje R Jolym. ~~Publiki bit~~ organizatore i uacelini  
kūim Polskii Organizaii Karodoro synalykalykyneš .  
Trom Organizaii + komali luobit i Jolym. do ter organizaii

notyptimny. Jednym z punktów gdnio chiatat uacelini  
byto uienkanti na II pishre n domu jony ul Polnet  
rodg Oleendron. Organizaiie ta jak mieu obiuo, atz  
moje obsiatakudis jonei Wiraomny - ~~Polone~~ i to liehanti  
Miens Tour. Muie gestapo jorubhritu u Broclurey  
Hreshowens sledy moji jnyjaciutiky jechmjo Karistomny

do organizaii nkradi si agent Komunistomny  
nyprawat je doniost krumomny i ~~gestapo na Oleendrony rittio krom~~  
~~stapnarechit de kromny~~

Inuynier Kublicki ord osoby khorit jnyjaty na  
Oleendron gdnie gestapo zalyuyt kavit - rotalygerentomny

Arhentorauzh joremientomny de vyziemie ne danito  
micowsty, jizniej n M. Duchve golie rotalygerentomny

Arhentorauzh jny jnyym nacie kubicaku jachmjo bithow-  
depostka  
uistito jremientomny de Oshiviciunie. Oshiviciu jremny 177

## Wspomnienia z lat wojny i okupacji

### I. W przededniu wojny.

W Grudziądzu znalazłam się ostatniego kwietnia 1939 roku - przeniesiona ze szkoły w Mieroszynie, kilka kilometrów za Puckiem. Hiałałam tu podjąć obowiązki nauczycielki w Szkole Nr.3 im. Królowej Jadwigi i hułkowej jednego z grudziądzkich hułków harcerskich - dziewcząt. Obie te prace przejąłam po przenoszącej się do Torunia drh. Władysławie Kruszoniance.

Do pracy w szkole wprowadziła mnie kierowniczka p. Emanuela Ptasińska, do pracy harcerskiej - druhna Maria Dyl - ówczesna komendantka Środowiska w organizacji harcerzek w Grudziądzu.

W lipcu tegoż roku przy pomocy drh. Dylówny - znającej doskonale tutejsze warunki i przyjacielki harcerstwa zorganizowałam z młodzieżą swojej szkoły kolonię harcerską w szkole w Wielkim Wałcu (w pobliżu granicy z byłymi Prusami Wschodnimi). - Owego lata 1939 roku władze harcerskie poleciły, by obozy i kolonie umieszczano w miejscowościach przygranicznych - by na granicy z Niemcami zapłonęły ogniska harcerskie. Miały one krzepić ducha patriotyzmu, szerzyć uczucia optymizmu u okolicznej ludności, i młodzieży harcerskiej również. Nasze ogniska odbywały się na Wale Wiślonym, nieopodal niemieckiego posterunku granicznego. Zapraszana była na nie ludność z okolicy. W urozmaiconym programie przeważały pieśni o wojsku i pieśni ludowe, gawędy tematycznie związane z groźną sytuacją polityczną i mówiące o silnym postanowieniu stawienia czoła napastnikowi.

W tym okresie wizytowała kolonię delegatka Komendy Obrągwii, nauczycielka z Torunia - druhna Wanda Fryaufówna.

Ostatniego sierpnia - zgodnie z poleceniem władz, aby wszyscy w dniu 1-go września znaleźli się na swoich stanowiskach służbowych - przyjechałam do Grudziądza. Zatrzymałam się u drh. M. Dylówny. O świecie zostałyśmy zbadane przez jedną z sanitarek i wezwano do p. Zofii Brandt, która w owym czasie pełniła obowiązki płatnika. Każda z nas otrzymała sumę odpowiadającą trzem miesiącom pensjom i polecenie, by wezwać inne koleżanki.

Ulicą Groblową skierowałyśmy się ku południowej dzielnicy miasta. Kiedy znalazłyśmy się w pobliżu fabryki H.V. / obecnie Pomorska Odlewnia i Emaliernia / około piątej, powietrzem wstrząsnęły detonacje. Służba przeciwlotnicza poleciła nam wejść do bramy jednego z domów, a następnie do schronu, przygotowanego na wypadek wojny w piwnicy tej kamienicy. Zdawałyśmy sobie sprawę, że jesteśmy świadkami rozpoczęcia przez Niemców działań wojennych. Do nasu naszych doszły odgłosy uderzeń pocisków artyleryjskich wysyłanych na Grudziądz od strony Gardel.

Po zawiadomieniu koleżanek o konieczności stawienia się u p. Brandtowej i po naradzie z drh. Dylówną postanowiłyśmy, że pojedą do Torunia, aby powiadomić Komendę Chorągwi Harcerek o zorganizowaniu służby sanitarnej i łączności przez harcerki w Grudziądzu i by otrzymać dalsze instrukcje. Sądziłam, że następnego dnia z nimi wrócę. Pociąg popołudniowy do Torunia był kilkakrotnie ostrzeliwany z broni pokładowej zniszczających się samolotów niemieckich. Zatrzymywał się ludność opuszczała wagony, by skryć się w pola. Dotarłyśmy jednak do celu szczęśliwie. Zgłosiłam się w Komendzie Chorągwi. O powrocie do Grudziądza nie było mowy. Skierowano mnie na dworzec główny, bym wzięła udział w akcji opieki nad ludnością ewakuowaną z powiatów zachodnich naszego województwa. Służyłyśmy tym osobom w przenoszeniu bagażu, podawaniem ciepłej strawy, herbaty, mleka dla dzieci. Tam spędziłam noc na drugi września i część dnia. Widziałam jednak, że w tej pracy doskonale sobie radzą miejscowe dziewczęta. Poprosiłam więc o inny przy-

dział pracy. Otrzymałam zaświadczenie, że jestem nau-  
czycielką - instruktorką harcerstwa, kierowaną do orga-  
nizowania opieki nad ewakuowanymi w Brodnicy nad  
Drwęcą. Problem stanowiło, jak się tam dostać? Przez  
Jabłonowo było to już niemożliwe. W obawie przed  
wtargnięciem z Itawy w głąb kraju, niemieckiego po-  
ciągu pancernego, wysadzono wiadukt kolejowy w pobli-  
żu stacji kolejowej Jabłonowo. Pozostała droga przez  
Sierpc. Ale i to okazało się złudne. Z Sierpca nie kie-  
rowano już pociągów do Brodnicy. Postanowiłam czekać.  
W holu stacji przebyłam noc z 2 na 3 września i dzień  
następny, dowiadując się u komendanta stacji o możli-  
wości dostania się do Brodnicy.

Aby usprawiedliwić moją natarczywość pokazałam pismo  
kierujące mnie na placówkę do Brodnicy. Kiedy znalazł  
się obywatel z Włodzimierza Wołyńskiego, zmobilizowany  
z przydziałem do 67 pułku piechoty, komendant przedstac-  
wił nam siebie i radził pojechać dalej motocyklem, któ-  
rym ten ostatni przejechał całą Polskę. Po drodze  
mijaliśmy grupę piechoty strażnicy obywatelskiej, prowadzą-  
cą kilku Niemców cywilnych, obywateli polskich, którzy  
okazali się szpiegami. Usuwano ich z terenów pogranicza  
z tzw. Prusami Wschodnimi. Wśród nich zauważyłam mło-  
dego oskowiaka, który kiedyś uczęszczał do gimnazjum  
w Brodnicy, a następnie przeniósł się do niemieckiego  
gimnazjum w Grudziądzu. Twarz jego wyrażała wściekłość  
ale i lęk o dalsze losy.

## II. W Brodnicy.

W Brodnicy zajechaliśmy przed kossary 67 pułku pie-  
choty. Okazało się, że kossary są prawie puste, pułk  
wymasserował w lasy ku granicy północnej. Miasto opus-  
toszało, a ludność nie wychodziła na ulice; w domach  
oczekiwano z lękiem na zbliżającą się wypadki.

Jedyną osobą, jaką spotkaliśmy na głównym rynku był  
kierownik szkoły Hr. l. ob. **S o b i e c h** w mundurze  
oficera rezerwy. Z śalem stwierdził, że nie jest prze-



widziana obrona miasta, że na posterunku zostawiono go z małą grupą żołnierzy. Dworzec kolejowy jest nieczynny, pociągi od czasu wysadzenia mostu w Jabłonowie, nie dojeżdżają do Brodnicy. Radził mojemu towarzyszkowi dołączyć do jakiegokolwiek jednostki, która zechce go uzamkować i zaopatrzyć w broń. Mnie również radził jaknajwcześniej opuścić miasto. Przewidywał, że każda godzina może być zajęta przez wroga.

Wróciłam więc tym samym środkiem komunikacji i tą samą drogą do Sierpca. Tu przekyliśmy parę nalotów na dworzec na którym zgromadziła się masa uciekinierów. Podczas nalotu komendant stacji polecił ludziom rozproszyć się. Ruszyli więc w pobliskie pola ziemniaczane i do ogródków przy domkach jednorodzinnych. Po ofiarę tego bombardowania przyjechały samochody z lekarzem z miasta. Pożary gasili i miejscowi i uciekinierzy. Pod wieczór przejechało parę pociągów z wojskiem i rannymi, ale cywilom nie pozwolono wsiadać. Były wiadomości, że wieziono rannych z okolic Chojnic i Borów Tucholskich.

### III.

#### W drodze do Warszawy.

O zamiarach komendant uzaskał zezwolenie wysłania najbliższym pociągiem rosnącej wciąż masy uchodźców. Z ogromnym pośpiechem wsiadała ta gromada zbiedzonych, przerażonych, często chorych ludzi, obciążonych tobołami. W księżycową noc skierowano nasz pociąg przez Płock, Gostynin do Żychlina. W miejscowości tej byliśmy około południa dnia następnego. Opuścić Żychlin pozwolono nam późnym wieczorem, znów w piękną księżycową noc.

Jak w Żychlinie mówiono, że dworzec w Kutnie został zbombardowany i że podróż nasza przed Kutnem się skończy. Rzeczywiście, otoczenie dworca w Kutnie przedstawiało się tragicznie. Budynek stacji zniszczony, szyny powyginane, wokół gruz. Trudna sytuacja - co robić dalej ?

21/17

Wśród autobusów wiozących uchodźców z poznańskiego i Pomorza, znalazłam kierowcę, który mimo przepędzenia zgodził się mnie zabrać. Przedstawiłam się, że jestem nauczycielką i instruktorką harcerską, że nie mam możliwości powrotu do Torunia, a zamierzam dostać się do Warszawy, by tam stanąć do pracy. Przedstawiłam dowody i legitymacja nauczycielka sprawiły, że ochotnie mnie również (w ogromnym tłoku). Późnym popołudniem dotarliśmy do Żyrardowa pod Warszawą. Moi towarzysze podróży zamierzali tu spędzić noc. - Samochodem, który wiozł do Warszawy pracowników Zakładów Żyrardowskich zabrałam się i ja. Do Warszawy dotarliśmy o zachodzie słońca 6-go września. Wsiadłam w okolicy dworca głównego w Alejach Jerozolimskich. Tu skończył się pewien odcinek moich losów wojennych.

#### IV. " Pogotowie Harcerek" i praca w Szpitalu Ujazdowskim.

Od dworca poszłam na ul. Myśliwiecką, gdzie mieściło się "Pogotowie Harcerek". Warszawa była zaciemniona, ale na ulicach ruch ożywiony. Była już kilkakrotnie bombardowana. Jak się okazało, Niemcy zbliżali się do niej od strony Okęcia.

Zgłosiłam swoją gotowość do pracy. Przyjęto, polecono przyjść następnego dnia. Miałam w Warszawie rodzinę. Odnalazłam w zaciemnionym mieście ul. Służewską, niezbyt odległą od Aleji Ujazdowskich. Przyjęto mnie tam serdecznie, wysłuchano wiadomości o bliskich i prawie tygodniowej wędrówce do Warszawy.

W pierwszych dniach w Pogotowiu zlecano mi różne prace: przygotowywanie pościeli, bielizny, naczyn odfarowywanych masowo przez mieszkańców Warszawy dla szpitali. W nocy, kiedy obstrzał nalał, a miloty na miasto ustawiały, - nosiłyśmy posiłki żołnierzom zgrupowanym z punktów obrony.

Pewnej nocy około 10 września zaniosłyśmy wiadra z kąpą przygotowaną przez kobiety z ulicy Wiejskiej na teren Politechniki Warszawskiej. Okazało się, że w okolicach ulicy Grójeckiej i Placu Narutowicza jest już front. Zmęczeni żołnierze już spali. Nie pozwolono im budzić i posiłek mieli dostać rano, sania z terenów Politechniki zostaną wysłane, by zastąpić towarzyszy broni na pobliskim froncie.

Po 10 września skierowano nas do Szpitala Ujazdowskiego, któremu podporządkowanych było kilkanaście szpitalików obsługiwanych przez harcerki. Powierzono mi dowożenie żywności do tych szpitali.

Na sadrzewionym terenie szpitala spotkałam gospodarza z pod Bydgoszczy, który uszedł stamtąd z rodziną i chłopakiem - służącym. Zgodził się, że odda nam wósa i konia za cenę karmienia go i przetrzymania przez okres działań wojennych.

Odtąd co dzień rano szłam ze Służewskiej do Szpitala Ujazdowskiego, zgłaszałam ilość rannych i personelu sanitarnego każdego ze szpitali, otrzymywałam dla nich odpowiedni przydział żywności i leków. Było to: kasza, pieczywo, jajka, mleko skondensowane, miedzy wino. Po załadowaniu z pomocą żołnierzy, wędrowałam od jednego szpitalika do drugiego ulicami: Wiejską / 2 szpitale/, Piękną, Mokotowską /szpital w szkole Wawelberga/, i dalej Marszałkowską aż do Królewskiej. Po drodze kolejno obsługiwałam powierzone mi szpitale. Bywało, że nie zastałam szpitala w tym samym miejscu, bo po którymś z licznych bombardowań musiał być przeniesiony z wielkim trudem do całego jeszcze ponieszczenia.

Kłopoty były z woźnicą. Zrazu przydzielono mi żołnierza, ale ten nie chciał jechać, kiedy był obstrzał. Droga od szkoły Wawelberga wchodziła w Marszałkowską przy Placu Zbawiciela, a stąd biegła długa perspektywa tej ulicy aż do Ogrodu Saskiego. Nad kamionkami gwiadały pociski. Nawoływałam do pośpiechu, byle prędzej znaleźć się z żywnością na Złotej, Siemnej, żeby dowieźć ją bez strat.

Powołający żołnierz radził, aby zatrzymać się, ale moim zdaniem nie miało to sensu. Na ulicy stało niebezpiecznie, bramy posamykane, więc lepiej było w ruchu, podcinać konie i przyspieszać. Miałam złudzenie, że w ten sposób unikniemy kuli i odłamków. Po takich kilku przejazdach pod ostrzałem, żołnierz się sbuntował i nie pokazał się pod magazynem żywności. Spotkany kilka dni później na terenie parku przyszpitalnego wyjaśnił: "Pani nie pozwala zatrzymywać się przy nalocie, czy ostrzale. Jako cywil nie zdaje sobie pani sprawy z groźnego niebezpieczeństwa". I sądzę, że miał słuszość. Nie były to u mnie dowody wyjątkowej odwagi, jak oceniali to członkowie personelu szpitalików i za to dziękowali - lecz z wyrazną poczuciem konieczności, by jaknajprędzej wypełnić obowiązek, oddać wiesione leki i żywność. Czekali na nie ranni i służba sanitarna. Ceniłam ściśle, więc z pracującymi w tych szpitalikach drobnymi, pełniącymi swoje obowiązki w niezmiernie ciężkich warunkach. Punkty szpitalne mieściły się w mieszkaniach prywatnych, klasach szkolnych, salach gimnastycznych itp. Często bombardowane, trzeba było kilkakrotnie przenosić w bezpieczniejsze miejsca. Po zebraniu zapotrzebowania na dzień następnny - wracałam do Ujazdowa. Następnego dnia przywozikiem przygotowany zestaw.

Po wycofaniu się żołnierza, jeździł ze mną powozem, chłopak gospodarzy z pod Bydgoszczy, do których należał wóz i koń.

Dni Warszawy płynęły w ciągłej walce. Ludności przybywało; byli to uciekinierzy z poznańskiego i Pomorza. Zamilkło radio, ucichł głos prezydenta Starzyńskiego, który podtrzymywał na duchu mieszkańców Warszawy, wydawał polecenia, gdzie potrzebna pomoc. Miały zapasy żywności. Ludzie z tobozami wędrowali z jednej dzielnicy Warszawy do drugiej. Spaleni szukali schronienia u rodziny, czy znajomych. Nocami całe dzielnice płonęły. Ludność miejscowa i napływowa walczyła z pożarami, a przysypane gruzem ulice bywały uprzątane w miarę możliwości jak najszybciej. Kto mógł i jak mógł pomagał

w likwidowaniu śladów ubytków w budynkach broniącego się miasta. Na wielu posterunkach i wielu placówkach spotykało się harcerki i harcerzy wciąż czynnych, niosących pomoc potrzebującym.

Aż przyszedł dzień 25 września, podobno poza Warszawą pogodny, kiedy setki samolotów bez przerwy, przez wiele godzin bombardowały miasto. Dymy pożarów zakryły niebo. Słońce na tle ciemnego sklepienia podobne było do jaśniejszego krążka.

Ale żywność jednak trzeba było dowieźć. Mogłam to uczynić dopiero o zmierzchu, kiedy ustąpiły naloty bombardujące i zalał ostrzał artyleryjski.

To kilka takich dniach dowództwo obrony Warszawy zdecydowało, że dalszy opór jest już niecelowy. Brak wody, żywności, brak dachu nad głową dla setek tysięcy ludzi - stałych mieszkańców i uchodźców, zmusił do przyjęcia warunków kapitulacji.

W dniu, kiedy ucichły strzały, zapanowało najpierw zdziwienie dla niecodziennego zjawiska, a potem oburzenie i żal do podpisujących zgodę na kapitulację. Ludność Warszawy chciała dalej walczyć.

Dołym zaskoczeniem było dla mnie, kiedy w grudniu 1964 r. otrzymałam w podarunku od drh. Wiśki L u ś n i a książkę Marii Fann "Niebo nieznane". Otrzymałam się, że kierowniczką jednego z szpitali harcerskich ~~103~~ ul. Siennej, była autorka tej książki. We wspomnieniach z dni obrony Warszawy była uprzejma napisać kilkanaście żywciliwych zdań o nauczycielce z „pomnańskiego” „Anieli Kowalskiej”, która zaopatrywała jej szpital w żywność / str. 14, 29 i 30, wydana 1964 r./

Również w dziele "Cywilna obrona Warszawy we wrześniu 1939 r." wydanym przez PWN w 1965 r., którą ofiarowałam mi grono nauczycielskie II Liceum Ogólnokształcącego, gdzie pracowałam 17 lat - omówiona jest praca szpitali harcerskich, wspomniano tam o moim wkładzie. Wprowadzie opisano tam pracę "Janki" Kowalskiej z Torunia /str. 193, 194/, ale na to fałsz używaliśmy dokumenty dopiero w czasie okupacji, za drugą powrotem do Warszawy,

kiedy zatrudniona byłam w Domu Dziecka Rodziny Wojakowej - również prowadzonego przez harcerstwo.

V. Po kapitulacji - znów na Pomorzu.

Dla mieszkańców Warszawy nastąpiły dni równie tragiczne, jak dni obrony. Do poszczególnych dzielnic miasta wchodziły oddziały niemieckie, a wychodziły smutne, bez broni wojsko polskie. Kolumny wkraczających Niemców składały się z ludzi sprowadzonych z zaplecza, dobrze się prezentujących, żeby swoim widokiem przygnębić mieszkańców zniszczonej stolicy i żołnierzy polskich. Na twarzach Polaków rysowały się wyrazy bólu i nienawiści na widok maszerujących oddziałów butnego szwajcarskiego wroga.

Chodziłam po Warszawie szukając możliwości powrotu do rodziny, - wiadomości, czy ruszą pociągi na zachód Polski. Spotkałam wtedy koleżankę - nauczycielkę z Torunia, drh. Wandę Fryaufówną, która również znalazła się w Warszawie i prawdopodobnie pracowała na którejś z placówek harcerskich. Postanowiliśmy wracać razem. Dowiedzieliśmy się, że z Dworca Zachodniego odchodzą pociągi na północny wschód Polski.

Trzeciego października, w zimny, jesienny poranek, wagonami towarowymi wyruszyli obywatele Pomorza i woj. pomorskiego w drogę do swoich domów, niepewni, co ich tam czeka. Wśród ludzi nastroje tragiczne. Zniechęcenie, rozpacz, przekleństwa, pretensje do rządu, który opuścił Polskę, pretensje do wyższych dowódców, że nie walczyli na czele. To ostatnie nie było zgodne z prawdą, bo walczyli i ginęli zarówno oficerowie niższych stopni jak i generałowie. Podczas tych utyskiwań zawiedzionych żołnierzy padło bardzo charakterystyczne zdanie: „Najdzielniej walczyli i dowodzili oficerowie rezerwy a wśród nich nauczyciele.”

- O zmierzchu przyjechaliśmy do stacji Toruń Główny. Tu kończyła się droga pociągu. Most na Wiśle został w pierwszych dniach wojny wysadzony. Ktoś poprowadził naszą gromadę ścieżkami wśród zarośli i trzcina do przeprawy przez rzekę. Łodziami przewożono nas na drugi brzeg. Przez ciemny, jakże inny Toruń niż ten, który zostawiliśmy w pierwszych dniach września dotarliśmy do mieszkania družny Wandy przy ulicy Grudziądzkiej. Gospodyni zalekciona oznajmia, że przedstawiciele "Schutzpolizei" wraz z cywilem z opaską hitlerowską dowiadywali się już o mieszkającą tu nauczycielką, instruktorkę-harcerkę. Narada, co czynić dalej? Drużna Wanda postanowiła szukać w następnym dniu kontaktu z nauczycielami, którzy ocalili. Ja decyduję się wyjechać do Grudziądza. Mimo braku zezwolenia na przejazd, ryzykuję tę podróż. Udało się, nie było kontroli. Zatrzymuję się u družny Marii Dylówny, oddaję powierzone mi w Warszawie listy do rodziny jednej z naszych harcerek-nauczycielek.

Grudziądz zastałam w powodzi flag hitlerowskich. Rucho na ulicach mały. Mieszkańcy przerażeni licznymi aresztowaniami i wyrokami śmierci. Wśród aresztowanych wielu nauczycieli. Po kilku dniach pojechałam do matki do Brodnicy, która podczas działań wojennych przebywała na wsi u znajomych. Jadę znów bez przepustki, ale i tym razem się udało. Nie melduję jednak swego przyjazdu, choć obowiązywało rozporządzenie władz niemieckich. Nie wychodzę z domu. Do mieszkania naszego przychodzi co co kilka dni Niemka z sąsiedniej ulicy, która znała nas od dzieciństwa i dopytuje się, czy nie wróciliśmy obie z siostrą, również nauczycielką - instruktorką P.W.K. Interesuje się również tym, gdzie jesteśmy. Przynosi wiadomości, którzy nauczyciele wrócili do miasta, kogo aresztowano. Jest pełna satysfakcji i niezawisłości. Chwali się tym, jakie stanowisko zajmuje we władzach miasta jej siostrzeniec - absolwent gimnazjum niemieckiego w Grudziądzu, a niegdyś uczeń gimnazjum brodnickiego. Postanowiamy opuścić Brodnicę.

## VI. W poszukiwaniu pracy na terenie pow. gostynińskiego.

Dochodzą wieści, że na Wisłę, za Płockiem, w powiecie gostynińskim i kutnowskim istnieją polskie szkoły. Niemcy nie zdecydowali jeszcze, czy mają te tereny włączyć do Rzeszy, czy do tzw. Generalnej Gubernii. Pojechałam przez Sierpc, Płock do Gostynina. W pociągu spotkałam nauczycielkę z Torunia, instruktorkę-harcerkę, która też kieruje się w te strony i w tym samym celu. Inspektorem szkolnym w Gostyninie jest były nauczyciel jednej ze szkół wiejskich mniejszościowych, dla dzieci kolonistów niemieckich. Urodzony, wychowany, wykształcony w Polsce, bez buty niemieckiej, daje nam kilka adresów szkół w powiecie gostynińskim. Radzi powędrować do tych miejscowości, zdecydować się na jedną z nich i zorganizować nauczanie.

Napotykały jednak na trudności. Ludność polska zastraszona, nie zawsze ma odwagę współdziałać w zorganizowaniu szkoły. Wędrówka trwa tydzień. Każda z nas poszła w inną stronę. Wybrałam kierunek na Gąbin. Okolice ogromnie zniszczone, wioski spalone, miasteczko w gruzach. Miały tu miejsce ciężkie boje we wrześniu. Zapadła noc. Szukam schronienia w szkole. W domu kierownika w dużym, słabo oświetlonym pokoju zastaję kilka kobiet. Legitymuję się prosząc o pozwolenie spędzenia nocy pod dachem. Przyjmują. Okazuje się, że zebrały się tu żony kilku tutejszych i okolicznych nauczycieli. Przygotowują paczki, bo wczesnym rankiem wybierają się do Łodzi, by uzyskać zezwolenie na widzenie się z aresztowanymi mężami, których tam uwięziono. Panna atmosfera przygnębienia, ale nie załamania. Do aresztowania przyczynili się tutejsi Niemcy - koloniści. Rozłożono materace - próbujemy zasnąć. One za kilka godzin wyruszają do Łodzi.

Następnego dnia wracam do Gostynina i kieruję się w stronę Łęcka. Mijam jezioro Białe, nad nim jednoklasową szkołę we wsi Biała. Pokój nauczyciela w takim



starie, jak zostawił idąc na wojnę : sprzęty, biblioteczka, pościel. Rozmawiam z siostrą i innymi gospodarzami. Decydują się pomóc w rozpoczęciu zajęć i przetrzymać dzieci. Muszę o tym zawiadomić inspektora w Gostyninie i matkę, która tymczasem przeprowadziła się z Brodnicy do Sierpca.

Nastąpił okres względnie spokojnej pracy, jeśli nie brać pod uwagę licznych wybryków tutejszych Niemców, włóczących się na rowerach, z opaskami na rękawach, grożących represjami i przechwalających się swoją władzą. Dzieci uczyły się chętnie, rodzice zadowoleni, że one nie próżniają.

Zamieszkałam w pokoju mojego poprzednika, o którym mówiono, że prawdopodobnie zginął we wrześniu jako oficer rezerwy. - Czas wolny poświęcałam na wędrowki po okolicy, wzdłuż jeziora, obserwowałam pokowy ryb w zimie pod lodem. Właściciel jeziora Białe, obecnie tylko kierownik połowów, okazał się mężem nauczycielki z sąsiedniej wsi. Pani Helena Stańczak nie pracowała w szkole. Zajmowała się domem i wychowaniem 11-letniej córki. Do miejscowości w której pracowała przed wojną miała kilka kilometrów. Zrezygnowała. Życie w ciągłym lęku o męża, który wprawdzie był zatrudniony przez Niemców jako rybak, ale miał też wiele przykrości po aresztowaniu i wywiezieniu do Dachau brata, nie usposabiało jej do pracy zawodowej.

Do końca lutego 1940 roku pracowałam we wsi Białe. W pierwszych dniach marca zostali aresztowani wszyscy nauczyciele-mężczyźni w powiecie gostynińskim, a nauka w szkołach polskich została zawieszona. Inspektorem szkolnym był już Niemiec z Rzeszy, niesympatyczny, a nawet odpychający typ. Nie pozostało mi nic innego, jak wracać do Sierpca, gdzie matka moja i babcia również były nauczycielki, utrzymywały się z lekcji. Przychodziły do nich na naukę dzieci paru rodzin z dawną tu osiadłych, przynosząc w samian produkty jak: mąkę, kaszę, aleko.

Tymczasem pp. Stańczakowie zaproponowali mi, żebym przeniosła się do nich i zajęła się nauką ich córki i dwu bratanek, ofiarując mi za to utrzymanie. Zgodziłam się chętnie. Łatwiej mi tu było przetrwać niż w mieście zalanym Niemcami z Rzeszy i tzw. Prus Wschodnich. Wśród mieszkańców żyjących pod ciągłym terrorem, przy parokrotnym wywożeniu ludności do obozu w Ciechanowie.

Propozycja kol. Stańczakowej zbiegła się z innym ważnym dla mnie faktem. Siostra moja, która po wojennych wędrówkach dotarła do Warszawy, znalazła pracę w prywatnej szkole na Okęciu. Mieszkanie - pokój - otrzymała w byłym domu akademika przy Politechnice Warszawskiej. Gmach ten zamieniono na dom dla wydalonych. Znalazło się tam wiele osób z woj. poznańskiego, Pomorza, Śląska, skąd okupant usuwał obywateli polskich grabiąc ich mienie osobiste i urządzenia mieszkań.

Było wśród nich wielu przedstawicieli nauczycielstwa z różnych rejonów kraju. Domem tym administrowało BGO - Biuro Główne Opiekuńcze - centralna polska instytucja opieki społecznej, działająca w Generalnej Gubernii od 1940 - 1945 roku.

Inspektorami szkolnymi byli Polacy, lecz władzę nad nimi sprawował Niemiec Fuchs, absolwent polonistyki we Lwowie, a następnie nauczyciel języka polskiego w grudziądzkiej Goethe - Schule. Siostra poczyniła starania, aby i dla mnie znaleźć pracę w Warszawie, lub okolicy. Uzyskała ją we Włochach pod Warszawą, ale o tym, żeby wyjechać się z powiatu gostynińskiego nie było mowy. Wielokrotne i wielomiesięczne wędrówki do odpowiednich władz niemieckich w Gostyninie i starania o zezwolenie na wyjazd do GG nie przynosiły skutku. Załatwiano mnie odmownie, mimo że legitymowałam się telegramem, świadczącym, że otrzymałam we Włochach pracę i nie będę ciężarem w zaludnionej ponad miarę Warszawie.

## VII. Znów w Warszawie i okolicy.

Wreszcie po 10-dniu miesiącach starań, w połowie stycznia 1941 r. otrzymałam przepustkę i przez Kutno z matym bagażem, dotarłam do Warszawy. Posada we Włochach była już zajęta, więc przeznaczono mnie do szkoły nr.6 w Pruszkowie. W parę tygodni później uzyskały pozwolenie na opuszczenie Sierpca matka i babcia. Przejechały zostawiając wszystko, co posiadały, na dodatek Klancy w Kasielaku ograbili je nawet z małej ilości produktów żywnościowych, jakie wolno im byłoabrać.

Zamieszkałyśmy w jednym pokoju w ostery, w domu dla wysiedlonych. Obie z siostrą wyjeżdżałyśmy rano do swoich szkół. Po powrocie z pracy chodziłyśmy kolejno po posiłki do jadłodajni dla wysiedlonych - otrzymywane po niskiej cenie. Zarobki nas obu wystarczały zaledwie na wykupienie produktów przydziałowych o bardzo niskiej wartości odżywczej. O tym, żeby dokonać zakupów na czarnym rynku nie było mowy, bo ceny tam, przekraczały wielokrotnie nasze możliwości.

W Pruszkowie, gdzie pracowałam, my nanosyciele otrzymywaliśmy niekiedy coś z żywności, dzięki zabiegom rodziców naszych uczniów. Ze wspomnieniem wspominam, że na pierwsze święta wielkanocne przywiozłam bochenek białego, posennego chleba, upieczonogo przez któregoś z ojców naszych uczniów, dla ostunków grona nanosycielskiego. Praca w szkole układała się pomyślnie, choć z okrojonym przez władze niemieckie programem. Zamiast czytanek polskich, były redagowane pod zarządkiem niemieckim pismo "Ster". Ale nie ograniczałyśmy się do ram programu. Przy każdej okazji poszerzało się naukę o wiadomości z historii i geografii Polski. Nkodziem rozumiała, że zapisać może tylko to, co wolno, a słuchać wszystkiego, co konieczne dla polskiego dziecka.

Mimo dojazdów do pracy z Warszawy, co absorbowało czas, odczekawałyśmy, że to nie wszystko, że należy zająć się jakąś pracą poza zawodową.

21/1/17

Patrz str. 15a. Przypis nr.1.

Za pośrednictwem koleżanek - mieszkanek naszego domu i damnych znajomych z Wybrzeża, związałyśmy się z grupą ludzi redagującą pisma konspiracyjne. Wciągnęłyśmy się do ich kolportażu.

Po powrocie z Pruszkowa parę razy w tygodniu szłam na punkt rozdawczy - róg Polnej i Oleandrów - odbierałam paczki z prasą i rozwoziłam w swojej nauczycielskiej torbie. Poznałam wtedy dobrze okupacyjną Warszawę: Powiśle, Żoliborz, Wola - to były tereny obsługiwane przez mnie. Odbiorcami byli przedstawiciele różnych zawodów: kilka osób z inteligencji technicznej /po wojnie pracownicy naukowcy na Politechnice Gdańskiej/, nauczyciele, pracownicy więzień na ulicy Daniłowiczowskiej i Pawiaka, robotnicy z Woli, ludzie niegdyś rozmaitych zawodów a udający teraz kupców, rzemieślników, członków spółdzielni pracy. Wszędzie spotykałam się z życzliwym przyjęciem.

Na opakach gazetek nie było adresów lecz hasła i pseudonimy. Niektóre z nich zapamiętałam: "Inżynier", "Zbój", "Słoczek", "Frankenstein". Rozwoziłyśmy i inne niekoniecznie legalne przedmioty. Pewnego razu transportowałyśmy tramwajem ciężką paczkę z zapalnikami do broni, do tegoż "Frankensteina" na ul. Wilczą. Jeden przystanek wcześniej weszli Niemcy i poszli oglądać to i owo w bagażach wiszących przez pasażerów. Ustawiliśmy się jak najbliższej wyjścia, żeby sdać wysiąść zanim dotrą do nas. Udało się tym razem, ale przez parę minut skóra na nas cierpła.

Towarzyszyła mi wtedy Jadwiga Sitkowska, koleżanka z Seminarium Nauczycielskiego w Inowrocławiu, również harcerka.

Innym razem polecono mi przenieść na punkt szkolny Podchorążówki Szarych Szeregów - karabin z ulicy Radnej przy Dobrej, widłak Solca pod mostem Poniatowskiego, do ulicy Rozbrat. Owinięto go w zrulowany dywan. Niosłam go z siostrą Ireną, b.instruktorką P.W.K.; ubezpieczyło nas paru harcerzy po drugiej stronie ulicy.

Czas dalałam między pracą nauczycielską i kolportażem. Trwało to do marca 1942 roku.

W pierwszych dniach tego miesiąca

## Korekta i uzupełnienie strony 15.

Redagując wspomnienia w roku 1977 lękałam się narazić kogokolwiek.  
Informacje były niepełne.

" Grupa ludzi redagujących pisma konspiracyjne "-To organizacja podziemna "PONS." -Polska Organizacja Narodowo Syndykalistyczna której organizatorem i naczelnikiem był inżynier architekt Sławomir Kublicki kolega wuja naszego Ignacego Butlera także architekta z Gdyni. Siostra moja Irena Kowalska Błasińska spotkała inż.Kublickiego w początku roku 1941 na ul. Polnej.Do organizacji wstąpiłyśmy. Trzon tej Organizacji stanowili ludzie z Gdyni. Jednym z punktów gdzie działał naczelnik Kublicki ps."Sławek" było mieszkanie na II piętrze domu przy ul.Polnej róg ul.Oleandrów Organizacja jak wiem obejmowała swoją działalnością prócz warszawy Generalną Gubernię:Ciechanów Mławę Toruń.

Do Organizacji wkradł się agent komunistyczny,rozpracował ją i wydał Niemcom.Gestapo na Oleandrów założyło kocioł. Inżynier Kublicki oraz osoby które przyszły na Oleandrów zostały aresztowane.Aresztowanych przewiezino do więzienia na ul. Daniłowiczowską .Mieliśmy tam z nimi kontakt Dozorca więzienia nasz człowiek pseudo "Fotograf"który był łącznikiem został na Daniłowiczowskiej zamordowany.Aresztowani,łącznie z inżynierem Kublickim przewiezieni w Al.Szucha zamordowani zostali w czasie badań.

Mnie gestapo poszukiwało w Brodnicy n/d Drwęcą.Aresztowano wtedy moją przyjaciółkę Jadwigę Muzio ównę. Aresztowana po pewnym czasie w Warszaw koleżanka nasza Jadwiga Sitkowska Degórska została z ławiaka wywieziona do Oświęcimia.Oświęcim przeżyła-mieszka w Koszalinie.



*Kowalska*

2/1/19

W pierwszych dniach tego miesiąca punkt rozdzielczy został wykryty przez Niemców, pracownicy aresztowani. Niestety - znaleziono notes zawierający adresy nasze, a także naszych przyjaciół na terenie Pomorza u których kurier wysłany do tej części kraju, mógłby znaleźć schronienie i pomoc. Trzeciego marca, kiedy wróciłam z pracy, siostrze mej, która poszła płacić za mieszkanie w administracji Domu powiedziano, że było gestapo, przeglądało księgi meldunkowe, a spatrzymali się dłużej na stronie, gdzie była notatka mojego meldunku.

Czyną prędzej zniszczyłyśmy gazетки przechowywane w pokoju, zabrałyśmy drobiazgi i wyszłyśmy z domu. Był mroźny zmierzch. Siostra pojechała do znajomych na Powiśle, ja do Pruszkowa do jednej z koleżanek z mojej szkoły. Następnego dnia miałam zamiar pójść do pracy, ale koleżanka stanowczo się temu sprzeciwiła. Zamknęła mnie w swoim mieszkaniu i poszła do szkoły, obiecując zająć się moją klasą.

W południe wróciła wzburzona "wiesz, byli po Ciebie, grozili kierownikowi karą, że nie wie, co się dzieje z nauczycielką tej szkoły". Tłumaczył, że ma ze mną mały kontakt, bo dojeżdżam rano, a w południe wracam do Warszawy.

Wracam do momentu wyjścia z domu. Udałyśmy się z siostrą, że następnego dnia spotkamy się u znajomych przy Placu Narutowicza, a o tym co się będzie działo w domu - miała nas zawiadomić jedna z nauczycielek - sąsiadka.

Siostrę zastałam w umówionym miejscu; miała już wiadomość telefoniczną. Okazało się, że powrót do domu stał się niemożliwy. W nocy było w naszym mieszkaniu gestapo. Zaskoczeni, że nas nie ma, wściekli, że się wymknęłyśmy. Matka wyjaśniała, że poszłyśmy na imieniny koleżanki Kasińskery i że nie wróciłyśmy przed godziną policyjną. Adresu tej koleżanki nie zna.

Przez tydzień tużylałam się u znajomych w różnych punktach Warszawy od Polcowizny na Pradze, po Czarniekwów. Zaczęłam szukać kontaktów z organizacją harcerską, z którą tak ściśle byłam związana podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939r. Okazało się, że duża grupa nauczycielek z Torunia i woj. pomorskiego, harcerek - instruktorek jest w Warszawie i okolicy, zatrudniona w Sekcji Opieki nad dziećmi, organizowanej przez BGO. Kierowniczką jednego z domów - internatu dla chłopców na Żoliborzu, przy ulicy Czarnieckiego jest komendantka byłej Pomorskiej Chorągwi - drh. Jadwiga Luśniak. Drh. Wiśka skierowała mnie do biura tej sekcji, gdzie zastałam inną z instruktorek toruńskich, drh. Irenę Rieśmową /aginęła później w powstaniu warszawskim/.

Po przeprowadzeniu ze mną rozmowy na temat mojej pracy w kolportażu prasy, wysłano mnie do jednego z domów dziecka w okolicach Warszawy, w Konstancinie. Żeby nie kompromitować ich, jako poszukiwana przez gestapo, zamierzając zmienić nazwisko. Dozostałam jednak do wniosku, że przy tak częstym spotykaniu jak moje, wystarczy zmienić imię.

Za pośrednictwem siostry mojej Ireny, która współdziałała z grupą Szarych Szeregów, otrzymałam karczkę na imię: J a n i n a Kowalska. Odtąd na kilka lat zostałam Janką tak, że później trudno mi było przyzwycząć się ponownie do Anielki.

O miejscu mego pobytu wiedziała tylko siostra, matce powiedziałam, że jestem w bezpiecznym miejscu. Była to konieczność, bo wizyty Niemców powtarzały się kilkakrotnie, więc śmiało mogła mówić i matka i babcia, że nie wiedzą gdzie jestem.

#### **VIII. Praca w szkolnictwie tajnym, zorganizowanym w Konstancinie.**

---

W Konstancinie, w willi "Pisaki", gdzie mieścił się zakład dziecięcy, przyjęto mnie serdecznie. Znalazłam się w siostrzanym, harcerskim otoczeniu. Grono wychowaw-

orzyń i nauczycielek składało się bowiem z instruktorów harcerek, wysiedlonych przez Niemców z Pomorza, Wielkopolski, Łodzi, Śląska, lub poszukiwanych przez nich.

Spośród miejscowych - prócz personelu kuchennego - była jedyna warszawianka, dr. biologii, drubna Karolina Lubianka-Mianowska. Pełniła ona rolę "pani ogrodniczkę", ciężko fizycznie pracując z przydzielonym jej 17-letnim chłopakiem. Pomagały jej też dzieci np. hodowały króliki. Po wojnie została ona pracownikiem naukowym na Wydziale Farmacji Akademii Medycznej w Gdańsku.

Mimo, że pochodziłyśmy z różnych stron Polski, atmosfera była wśród nas serdeczna - harcerska, co sprzyjało naszej pracy z młodzieżą. Nasi podopieczni byli dziećmi ludzi wywiezionych do obozów, najczęściej oflagów. Oburzają się, bo przykro im było, kiedy na wycieczce przechodnie mówili o nich - sieroty. Wierzyły, że ojcowie do nich wrócą, a my tę wiarę podtrzymywałyśmy uparcie.

Tryb życia w domu prowadzony był systemem kolonijnym - harcerskim, z regularnymi posiłkami, ciszą poobiednią, przebywaniem na powietrzu w dużym parku - lesie, otaczającym "Piaski", wycieczkami w okolice.

Między innymi odwiedzaliśmy na cmentarzu w sąsiednim Skolimowie grób ulubionego przez młodych czytelników Wacława Ciesiorowskiego, autora powieści z okresu napoleońskiego: "Huzar", "Rok 1809". Książki te posiadałyśmy w bibliotece domu. Zmarły był przed wybuchem wojny wójtem osiedla Skolimów.

W parę tygodni, po umieszczeniu mnie w "Piaskach" w kwietniu 1942 roku, wysłana zostałam przez Kraków do Lwowa dla nawiązania, czy utrzymania łączności z komendantką Chorągwi lwowskiej drubną L U N Ą S T I P A L. Powierzona mi walizkę wypełnioną materiałami przeznaczonymi dla pracujących tam w konspiracji harcerki - dowiozłam do Lwowa bez uszczerbku. Znowu miałam szczęście bo kontrola ~~była~~ przez żandarmów, którą przeszłyśmy w podziemiu między Warszawą a Krakowem, ominęła moją walizkę. Ale dusza była na ramieniu.



Nauka w naszym domu odbywała się jak w szkole, w godzinach przedpołudniowych. Podręczniki dostarczała nam kierowniczka szkoły nr.136 na Pradze, drh. Maria Jiraska. Ona też miała pieczę nad przebiegiem zajęć dydaktycznych w zakładzie. Realizowaliśmy pełny program szkoły podstawowej z przed września 1939 roku. Zadania domowe były stosowane w pewnym zakresie, żeby przyzwycząić dzieci do samodzielnej pracy, lecz w razie trudności mogli zwrócić się do nauczycielki, która była w pobliżu.

Książki dzieci posiadały. W gronie wiadomo było, co z nimi zrobić, gdyby pojawili się nieproszeni goście. Od bramy do domu było dość daleko. Zamia na dwonek alarmowy doszła do bramy kobieta, która nasadziła zajmowała się praniem i pomocą w kuchni - już szukały kompromitujące materiały.

Razem z wychowawczyniami dzieci wykonywały szereg prac w domu. Codzienne sprzątanie sypialni i pokoiów nauki, jadalni i świetlicy. Zajmowały się też utrzymaniem w porządku grządek z kwiatami i alejek w otoczeniu domu. Szczególnie współzawodnictwo rozwijało się między grupami podczas wiosennego i jesiennego porządkowania terenu wokół domu, a następnie w opiece nad przydzieloną im częścią parku.

W dniach rocznic - ważnych w historii Polaki, urządzałyśmy ogniska - kominki, przedstawienia, inscenizacje piosenek ludowych i wojskowych. Szczególnie wiele trudu ale i radości dawało nam przygotowanie z dziećmi "Jasełek polskich" i inscenizacja bajki "O krasnoludkach i sierotce Marysi" Konopnickiej. Reżyserem była kierowniczka Doma drh. Tamara Zacharew.

Zasadniczo każda z nas była z swoją grupą cały dzień przy nauce, posiłkach, pracy, mycia itp. Posiłki starano się przygotowywać w miarę - urozmaicone. Klofciowo były wystarczające, choć nie wyszukane. W produkty żywnościowe zaopatrywało dom HGO, jarkyny dostarczał nam ogród warzywny, który prowadziła wspaniała już "pani ogrodniczka". Raz w miesiąc młodzież naszego domu była odwiedzana przez krewnych i opiekunów, bardzo częste przez matki. Były to nasze dni uroczyste. W innych momentach można było również odwiedzić naszych pupilów.

Dziewięć, które kończyły 14 lub 15 lat przesłane były do internatów dla młodzieży w Warszawie. Tam uczyły się do szkół zawodowych, dozwoleń przez okupanta. Naukę reszty przedmiotów pobierały w domach swych wychowawców i nauczycielek w przewidzianej ilości instruktorek-harcerek, pochodzących z terenów włączonej do Rzeszy.

Z podróży najbliższych koleżanek-harcerek w pobliżu Skolimowa, gdzie mieścił się również Dom Dzieci, pracowały:

1. dziewczyna Zofia Duda, nauczycielka z Torunia, po wojnie również pracująca w tym mieście,
2. dziewczyna Wanda Biernacka, obecnie w Toszowie,
3. dwie siostry Kardasińskie - Jadwiga i Sabina, również z Torunia,

Przez pewien okres pracowała tam również dziewczyna Bogusława Urankówna z Grudziądza, obecnie Spanilly.

/Zmarła w kwietniu 1976 r./

Podczas pobytu w Konstancinie w Domu Dziecka, oprócz opieki nad młodzieżą, dziewczyny harcerki podejmowały również inne prace. Dojeżdżały do Piaseczna, by służyć tamtejszą młodzieżą żeńską w zakresie służby sanitarniej. Była kierowniczką szkoły w Piasecznie w domu swoim, w niedzielę zbierała po kilka dziewcząt, by je można było przygotować jako sanitariuszki. Byłyśmy pełne uznania i ceniłyśmy dla tej starszej koleżanki, która z naradzeniem życia organizowała w swoim mieszkaniu zespoły dla potrzeb sblizającego się powstania.

Ponieważ w programie odbudowy wolnej Polski zakładano powrót do Macierzy Warmii i Mazur, przygotowywano więc ludzi do pracy na te tereny. Władze nasze harcerskie organizowały kursy zapoznające z historią, krajoznawstwem, stosunkami gospodarczymi, obyczajami ludności tych ziem. Kilka z nas dojeżdżało do Warszawy i tam w różnych punktach, w mieszkaniach prywatnych lub naszych internatach oserpowało wiedzę o tych ziemiach. Wykładali profesorowie różnych specjalności.

Szereg osób z pośród instruktoerek harcerek znalazło się po wojnie w szkołach województwa olsztyńskiego, czy gdańskiego po prawym brzegu Wisły.

W drugiej połowie lipca 1944 roku Niemcy kazali nam opuścić "Piaski". Wiosłyśmy dzieci i ich rzeczy osobiste do Józefowa koło Otwocka, gdzie koleżanki-harcerki-nasze cielki, przeważnie z naszych terenów, prowadziły zakład dla dzieci o słabym zdrowiu. W klimacie Otwocka dzieci te miały regenerować siły. Około 19 lipca 1944 r. otrzymałam urlop, by odwiedzić matkę, która wraz z babcią przebywały w Głotowie koło Jabłonn. Tam dostały nas wiadomości o zamachu na Hitlera i o zbliżaniu się wojsk radzieckich, do Lublina. Stamtąd zostałam wysłana do moich wujów harcerskich na ul. 6-go Sierpnia /dziś Nowowiejska/ róg Skuławskiej. Tu mieścił się internat dla dziewcząt. Włóczyłam się rozszalała na lato do znajomych, kuzynych, opiekunów.

Internat przygotowywano na szpital, bo wiadomo było, że moment powstania się zbliża.

#### IX. Powstanie warszawskie.

Ostatniego lipca, kiedy zgłosiłam się na ul. 6-go Sierpnia, skierowano mnie do domu dla starszych chłopców na Żoliborzu przy ul. Gałęzieskiego. Stanowisko kierowniczkę piastowała tu była komendantka Churągwi Pomorskiej drh. Jędrzyna Łęziak.

Część chłopców z tego internatu przebywała na kolonii letniej w Zalesiu pod Warszawą. Zwolniony przez nich lokal przygotowywałyśmy na szpital powstalców. Kompletowałyśmy pościel, bieliznę, opatrunki, leki.

Około południa 1 sierpnia 1944 roku odwołano mnie ponownie na ul. 6-go Sierpnia z poleceniem wyjazdu do Lublina w jakiejś misji. Poprosiłam o godzinę swobody, abym mogła wziąć od siostry z Powiśla drobniangi potrzebne w podróży.

7/25

Kiedy wracałam ~~z~~ Radnej przez Krakowkie Przedmieście i Nowy Świat już po ulicach od bramy do bramy przebiegali młodzi mężczyźni w płaszczach - często w prochowcach, mocno opięci pasami i wypchani bronią i nabojami. Gdy dotarłam do Placu Trzech Krzyży, dały się słyszeć strzały. Tramwaje stanęły, ludzie poszli chować się do bram. Również uzbrojeni Niemcy szukali schronienia pod ścianami domów.

Droga moja od tego placu, ul. Mokotowską w kierunku 6-go Sierpnia trwała kilka godzin. W paru bramach, w których ukryli się przechodnie, Straż Obywatelska z biało - czerwonymi opaskami zatrzymywała ludzi, bo wokół trwały już walki. Na ulicy Koszykowej płonął niemiecki czołg podpалony granatami powstańców. Wreszcie u wylotu Mokotowskiej do Placu Zbawiciela przy barykadzie dowiedziałam się, że pod pożądany adres mogę dostać się pinnicami. Już w tym dniu Warszawa była przygotowana do piszej komunikacji podziemnej. Poprzebijano ściany piwnic, przejścia opatrzone tabliczkami - drogowkami np: do ul. Koszykowej 35 lub do ul. Służewskiej 10 itp.

Kiedy znalazłam się w internacie na ul. 6-go Sierpnia o wyjeździe do Lublina naturalnie już mowy nie było. Zostałam to nasze drabny i wychowawczynie, ostery łączniczki-harcerki, ostery sanitariuszki i lekarkę również instruktorkę-harcerkę. Sale wyposażone były w łóżka, pościel, stopy bielizny. Szpital gotowy był na przyjęcie rannych. Wybór punktu okazał się nieszczęśliwy: dom narożny, okna wychodziły na ulicę 6-go Sierpnia, graniczącą z dzielnicą niemiecką. W sąsiedniej kamienicy - Służewska 3- mieściła się jakaś niemiecka organizacja paramilitarna. Byłyśmy otoczone Niemcami, przygotowane do niesienia pomocy, ale bez możliwości jej realizowania. Nastrój wśród nas był przykry. Instruktorci i dziewczęta czułyśmy się nieużyteczne. Trwało to parę dni. Jednego z nich, kiedy wracałam ze szpitala na Marszałkowskiej, który zorganizowały również nasze instruktorki harcerki, spotkałam w przejściu piwnicznym personel z 6-go Sierpnia biegnący w przeciwnym kierunku.

Poleciliy mi wracać z sobą w kierunku szpitala, jaką przysłałem.

W czasie mojej nieobecności Niemcy granatami przebili mię z sąsiedniego domu na Służewickiej. Inna ich grupa wkroczyła na podwórze. Rozkazali wszystkim mieszkańcom wychodzić do bramy. Z naszego zespołu część osób poszła za rozkazem i znalazła się na podwórzu. Tam Niemcy zabrali i już więcej ich nie zobaczyliśmy. Były wśród nich: drubna Maria Wocalewska, drubna Ezietyńska i drh. Irena Rieś sekretarka naszej Pomorskiej Chorągwi Harcówek z Torunia. Towarzyszyło im kilka z dziewcząt.

Druga grupa poszła do schronu i postanowiła przechodzić do sąsiednich kamienic. Te osoby właśnie spotkałem i przeszedłem z nimi na Marszałkowską do szpitala. W parę godzin później wróciłyśmy do naszego dawnego domu. Okazało się, że Niemcy nie tylko zabrali mieszkańców, ale domy podpálili podpalającymi. Próbowaliśmy ganić ludzi z sąsiednich kamienic pomagać, ale okazało się to mało skuteczne.

W dniu następnym do szpitala na Marszałkowską przysłało kilka naszych dziewcząt. Dowiedziały, że rzeczą z dorosłymi naprowadzono je na Plac Unii Lubelskiej do hali Straży Pożarnej. Wypuszczono je z poleceniem, żeby przynieść świnki para oficerów niemieckich, którzy zginęli z rąk powstańców w okolicach ul. Złotej. Obiecali, że za to zwolnią je, i z nimi szeregi innych osób. Fiedziałyśmy, że ta obietnica nigdy nie zostanie spełniona. Dziewczęta zatrzymałyśmy.

Zapadło postanowienie, aby podjąć inną akcję, jak się okazało konieczną w owym czasie. W wielu domach znajdowały się dzieci zostawione w dniu 1 sierpnia w mieszkaniach same, lub u dorocy, czy sąsiadów. Wraz z przedłużającym się powstaniem, dzieci te stanęły ciężar dla swych tymczasowych opiekunów. Postanowiliśmy zorganizować punkt dla tych dzieci. Jedną z naszych instrukterek dysponowała mieszkaniem swoich krewnych, którzy byli na lotnisku.

Mieścili się one przy jednej z przecznic ul. Marszałkowskiej i ul. Ks. Skorupki /obecnie ul. Sadowa/. Osiedliłyśmy się w tym mieszkaniu. Osoby kierujące tą akcją nawiązały kontakt z działającymi już polskimi władzami społecznymi. Otrzymywałyśmy odzież dla dzieci, lekarstwa i przydatną żywność.

Dziewczęta nasze zostały rozestawione po dzielnicy - między Placem Zbawiciela a Alejami Jerozolimskimi z przygotowanymi ogłoszeniami, gdzie mieści się punkt dla zagubionych dzieci. Poczęto nam przyprowadzać dzieci w różnym wieku. Były one zabiedzone, brudne, zawszone, przerażone nieobecnością matek. Zajęcie się nimi dało nam duże zadowolenie i pozwalało zapominać o ciągłej nalożach i ostrzałach artyleryjskich.

Dużą pomoc i ofiarność okazali mieszkańcy sąsiednich domów, znoszono materace, bieliznę dla naszych podopiecznych. Prócz opieki nad dziećmi, część z nas zajęta się rozdawaniem leków - szczególnie lekarstw zapobiegających biegunkom. Nasze instruktorki i dziewczęta porożowały te leki i wydawały potrzebującym.

Powierzono nam również rozdawanie wyprawek niemowlęcych, bo i w tych niecodziennych warunkach rodziły się w naszej dzielnicy dzieci.

Dotną trudność sprawiło zdobywanie wody do posiłków i do mycia, ale trzeba było to wykonać. Wystawiałyśmy w kolejkach z wiadrami i wanienkami przy odległych częste studzienkach miejskich, posuwając się nieco pod ścianą podczas nalożach czy ostrzała.

Walka z brudem i zawszeniem trwała bez przerwy. Wasy przynosiły nowe dzieci. Mimo, że strzygłyśmy ich włosy, prażyłyśmy odzież, efekty były skromne. Środków piorących mydła poczęto brakować. Wkrótce mieszkanie zostało zniszczone przez pocisk artyleryjski, saby wybite.

W czasie trwania powstania przeprowadzałyśmy się kilkakrotnie z dziećmi na coraz niższe piętra. Wreszcie znalazłyśmy się na parterze. Mieścili się tu łaźnie. Wyścielałyśmy materacami wanny i saleznie od wieku dzieci, układałyśmy w nich na noc po jednym czy dwoje.

2/1/28

Na koniec już tylko piwnica stanowiły jakieś zabezpieczenie. Przygotowałyśmy każdemu dziecku "tętną porcję", cukier w kostkach i sachary. Układaliśmy to w workach na poczekaniu woreczkach i zawieszaliśmy każdego przez ramię z usagą, aby pęki otrzymują coś do jedzenia nie naruszały tej porcji. Nadszedł moment, że dysponowałyśmy już tylko miazdżonym ziarnem pszenicy, rozmoczonym w słodkim roztworze miodu sztucznego.

I znova po raz drugi, dokładnie po pięciu latach, przeżywałam w Warszawie podobną sytuację. Nadszedł dzień, kiedy dalsza walka była już niemożliwa. Podpisano porozumienie o zaprzestaniu działań. Znowu zaparowała atmosfera szowu, rozpoczynała nad obróconym w gruzy miastem i losami jego mieszkańców.

W dniu w którym to nastąpiło, kiedy zaparowała niepokojąca cisza, rozeszłyśmy dziewczęta z ogłoszeniem o naszym punkcie. Poczuli się szwabi krewni, rodzice. Ilość naszych dzieci zmalała.

W wyznaczonym przez Niemców terminie z nasriadozeniem że jesteśmy punktem BGO, opiekującą się dziećmi, przeszłyśmy, prowadząc za rękę garstką dzieci do ulicy, gdzie przygotowane były wozy zabierające wypuszczających Warszawę. W pobliżu Politechniki załadowano nas na platformę zaprzęzoną w konie, ze strażą uzbrojonych Niemców na koźle. Jechaliśmy do obozu w Pruszkowie. Wątki szosy co paręset metrów płonęły ogniska, przy nich straż niemiecka. Małe możliwości ucieczki. A jednak, kiedy przejeżdżaliśmy przez Piastów, w umówionym miejscu, przekupieni Niemcy zatrzymali konie, żeby pozwolić wysiąść matce z niemowlęciem w wózku i babką. Trzy z nas wykoczyły, by pomóc wynieść wózek z dzieckiem. Na wóz już nie wróciłyśmy. W ciemności i deszczu uskoczyłyśmy na poboczne szosy z żywopłotem. Na wozie zostało kilka naszych pań i dzieci. Poprzednio liczba nas dorosłych była prawie równa ilości dzieci. Małe było prawdopodobieństwo, by nas wszystkie wypuszczono z obozu.

2/1/29

### X. Na punkcie zagubionych dzieci w Piastowie.

W Piastowie znalazłyśmy się na terenie ogrodu otaczającego dom pp. Grodeckich, - rodziców jednej z instruktoerek harcerskich, nauczycielki z Warszawy. Przyjęto nas serdecznie. Po raz pierwszy po paru miesiącach ujrzaliśmy na półmisku dymiące ziemniaki; podano nam również pomidory.

Córka pp. Grodeckich drh. Jagoda, pobiegła do bram miastyt już odległego obozu pruszkowskiego. Tam przy pomocy znajomych lekarzy (jej znajomych) i prawdopodobnie zaświadczenia RGO, zespół nasz wypuszczono wraz z dziećmi. Jeszcze tej nocy znalazły się w sąsiednim Konarowie, w domu rodziców również nauczycielki, instruktorki - harcerki drh. Hanki Piotrowskiej.

- Dzieci z paniami wkrótce pojechały do Krakowa, gdzie zostały umieszczone w domach dziecka.

Następnego dnia przysłano mi pewną sumę pieniędzy z poleceniem zorganizowania punktu dla zagubionych dzieci w Piastowie. Okazało się bowiem, że w tłumie ludności pędzonej dzień w dzień z Warszawy do Pruszkowa, dzieci gubiły się rodzicom. Zbierałyśmy je. Oddano nam do dyspozycji duży pokój na piętrze z łóżkami kucharką i parą snopami słomy, które reszstałyśmy na podłogach. W organizowaniu punktu dużą pomoc okazała nam drh. Jagoda Grodecka. Szczególnie w skontaktowaniu z władzami RGO w Piastowie i Pruszkowie. To umożliwiło nam otrzymywanie przydziału produktów żywnościowych. Choć były one skromne ale pozwoliły na przetrwanie tych tragicznych paru miesięcy. Po kilku dniach drhna Jagoda wyjechała skierowana na jakąś nową placówkę.

Piętrzyły się jeszcze inne trudności np. brak g opał. Trzeba było go zdobywać zbierając odpady półfabrykatów z sąsiedniej fabryki.

Znow koniecznym było prowadzić walkę z zanieczyszczeniem. Utrudniał ją brak odzieży i bielizny dla dzieci.



Oo dzień trzeba było podziatać rozestaną na podłogę sto-  
mą, żeby dzieci mogły się poruszać po pokoju.

W tej sytuacji siostra moja Irena b. instruktorka PFK  
wywalosyła u władz niemieckich pozwolenie na wyjazd do  
Warszawy. Do Piastowa ewakuowano z Warszawy szpitale  
i umieszczono je w pobliskiej hali fabrycznej. W porozu-  
mieniu z lekarzem polskim, Irena uzyskała przepustkę od  
lekarza niemieckiego kierującego ewakuacją. Samochodem  
jadącym do Warszawy po wyposażenie szpitalne zabrano  
i ją. Wróciła i przywiozła pewną ilość materacy, kilka  
poduszek, trochę białej pościelowej ze szpitala.

Z domu naszych krewnych, gdzie była zameldowana  
przed powstaniem, przywiozła odzież ich dzieci, prze-  
chowaną w piwnicy. Mogłyśmy teraz dzieci umyć, ostry-  
żone, przebrać w inne odzienie i położyć na materacach.  
Stołą na której dotąd spały wraz z pasożytami spali-  
łyśmy, co jednocześnie dało trochę ciepła w tych zim-  
nych, jesiennych dniach.

Tak przy skromnych przydziałach żywności z BGO i  
dokonywanych produktach, trwałyśmy do 20 grudnia 1944r.  
Otrzymałam bowiem polecenie przewiezienia dzieci do  
Krakowa. W zależności od wieku rozdzielono je do róż-  
nych domów dziecka, rozmieszczonych w Krakowie i na  
obszarze województwa krakowskiego.

Uzyskałam zezwolenie na wyjazd na święta do rodziny,  
do Nowego Sącza. Przydzielono mi grupę chłopców powyżej  
lat 14 i polecono odwiedzić do internatu przy szkole sa-  
wodowej w Nowym Sączu. Tu przebywałam do Nowego Roku  
1945. Następnie szłam przez Kraków wrócić do Piastowa.  
Znalazło się jeszcze kilkoro dzieci mających matki,  
które po wyjściu z Warszawy zamieszkały gdzieś u zna-  
jomych, miały jednak trudności z utrzymaniem ich i wy-  
żywieniem. Byłam już z nimi sama do 18 stycznia 1945 r.,  
kiedy do Piastowa wjechały czolgi z uzbrojonymi żoł-  
nierzami wojska polskiego. Przybyli niespodziewanie  
nie od strony Warszawy, ale od południa. Punkt zlikwi-  
dowałam. Matki zabrały swoje dzieci, rzeczy oddałam pod  
opieką BGO.

10/34

Od kierowniczki szkoły w Pleszewie strzyżona, jako powojenną wyprawę kolarną i poduszką. Zatrzymałam się przez pewien czas w redakcji na Głuchowic. Stamtąd pojechałam do Józefowa, gdzie przez kilka miesięcy uczyłam w szkole dzieci z Konstantowa. W tym czasie próbowałam jako wychowawczyni do końca lipca 1945 r., by w sierpniu wrócić na przedwojenne stanowisko do Grudziądza. W Inspektoracie pracy ul. Słowackiego zgłosiłam się do prac. Skierowano mnie do szkoły nr. 3, gdzie kierowniczką była pani p. Ptaszka.

I zaczęła się praca pełna napięciem ze strony nauczycieli i młodzieży, która zaczęła się w polskiej szkole.

Przebiegając we wspomnieniach czasu wojny, przypominając ludzi, z którymi mnie los zetknął stwierdzam, że nasze instruktorki-harcerki z terenów Pomorza, poznańskiego i Śląska, kiedy znalazły się w tzw. Generalnej Gubernii, stanęły do pracy z całym napięciem, poświęceniem i odwagą. Wysiłkiem, ścisłą pracą gestapo, pod fałszywymi nazwiskami, w bardzo trudnych warunkach materialnych, często po stracie najbliższych, nie traciły wiary w lepszą przyszłość. Spotykały się one na rozmaitych placówkach:

- w szkolnictwie jawnym,
- w szkolnictwie tajnym,
- w ośrodkach opieki nad dziećmi i młodzieżą,
- jako instruktorki służby sanitarniej,
- w redakcjach prasy podziemnej i jej kolportażu,
- na kursach przygotowujących do pracy na ziemiach Warmi i Mazur.

Wypowiednia napisana

*pani ANIELA KOWALSKA*

pani. Aniela K o w a l s k a

nauczycielka emerytowana II Liceum  
Ogólnokształcącego w Grudziądzu,

była instruktorka

Pomorskiej Chorągwi Harcerek

Grudziądz, dnia 7.III.77.

ul. Białostyński nr. 10/22

osobnie ul. Bora Komorowskiego 10/22

Korekta i uzupełnienie strony 15.

Redagując wspomnienia w roku 1977 lękałam się narazić kogokolwiek  
Informacje były niepełne.

" Grupa ludzi redagujących pisma konspiracyjne "-To organizacja podziemna "CONS." -Polska Organizacja Narodowo Syndykalistyczna której organizatorem i przewodniczącym był inżynier architekt Sławomir Kublicki koleżanka naszego Ignacego Butlera także architekta z Gdyni. Siostra moja Irene Kowalska Błasinska spotkała inż.Kublickiego w początku roku 1941 na ul. Polnej.Do organizacji wstąpiłyśmy. Trzon tej Organizacji stanęli ludzie z Gdyni. Jednym z punktów gdzie działał naczelnik Kublicki pseudonim "wół" było mieszkanie na II piętrze domu przy ul.Polnej róg ul.Oleandra Organizacja jak widać obejmowała swoją działalnością prócz Warszawy Gdynię Gubernię: Ciechanów Mławę Toruń.

Do Organizacji wkroczył się agent komunistyczny, rozpracował ją i wydał Niemcom Gestapo na Oleandra założyciela kociół. Inżynier Kublicki oraz osoby które przyszły na Oleandra zostały aresztowane.Aresztowanych wzięto do więzienia na ul. Daniłowiczowską .Mieliśmy tam z nimi kontakt. Porozumienie więźniów nasz człowiek pseudonim "Fotograf" który był kaciem, został na Daniłowiczowskiej zamordowany. Aresztowani później z inżynierem Kublickim przewiezieni na ul.Szucho zamordowani zostali w czasie badań.

Wnie gestapo rozzukiwało w Brodnicy n/d Drwęcą.Aresztowano wtedy na przystanku Jędrzeję Ruzicką. Aresztowana po pewnym czasie w Warszawie koleżanka nasza Jędrzeję Sitkowska Degórska została z ławki wywieziona do Oświęcimia.Oświęcimier przeżyła-mieszka w Koszalinie.



## Wspomnienie z lat wojny i okupacji

=====

### I. W przededniu wojny

W Grudziądzu znalazłam się ostatniego kwietnia 1939 roku - przeniesiona ze szkoły w Wierosławiu, kilka kilometrów od Puckiem. Niezależnie tu podjąć obowiązki nauczycielki w Szkole Nr 3 im. Królowej Jadwigi i hufcowej jednego z grudziądzkich hufców harcerskich - dziewcząt. Obie te prace przejąłam po przenoszącej się do Torunia kol. Władysławie Kruszoniance.

Do pracy w szkole wprowadziła mnie kierowniczka p. Ema-  
nuela Ptasieńska, do pracy harcerskiej - kol. Maria Dyl - ów -  
czesna komendantka Środowiska w organizacji harcerzek w Gru-  
dziądzu.

W lipcu tegoż roku przy pomocy kol. Dylówny - znającej  
doskonale tujejsze warunki i przyjaźni harcerstwa zorganizowa-  
łam z młodszą swoją szkołą kolonię harcerską w szko-  
le, w Wielkim Wołosu / w pobliżu granicy z byłymi Prusami  
Wschodnimi/. - Owego lata 1939 władze harcerskie poleciły, by  
obozy i kolonie umieszczać w miejscowościach przygranicz-  
nych - by na granicy z Niemcami zapłonęły ogniska harcerskie.  
Miały one krzepić ducha patriotyzmu, szerzyć optymizmu  
u okolicznej ludności i służyć harcerskiej równie. Nasze  
ogniska odbywały się na Wale Wiślanym nieopodal niemieckiego  
posterunku granicznego. Zapraszana była na nie ludność z oko-  
licy. W uroczajonym programie przeważały pieśni o wojsku i  
pieśni ludowe, gawędy tematycznie związane z groźną sytuacją  
polityczną i słońce o silnym postanowieniu stawienia czoła  
nieprzyjaciół.

W tym okresie wizytowała kolonię delegatka Komandy Cho-  
rągwi, nauczycielka z Torunia - Wanda Fryszówna. Ostatniego  
sierpnia - zgodnie z poleceniem władz, aby wszyscy w dniu 1-go  
września znaleźli się na swoich stanowiskach służbowych -  
przyjechaliśmy do Grudziądza. Zatrzymaliśmy się u kol. Dylówny .  
O świącie zostałyśmy zbudzone przez jedną z nauczycielek i  
wezwane do p. Zofii Brandt, która w owym czasie pełniła również  
obowiązki p. stnika.

71/34

Każda z nas otrzymała sumę odpowiadającą trzem miesięcznym pensjom i polecenie, by weswać inne koleżanki. Ulicą Gieblową skierowałyśmy się ku południowej dzielnicy miasta. Kiedy znalazłyśmy się w pobliżu fabryki IV /obecnie Pomorska Odlewnia i Kwalifikacja/ około piątej, powietrzem wstrząsnęły detonacje. Służba przeciwlotnicza poleciła nam wejść do bramy jednego z domów, a następnie do schronu przygotowanego na wypadek wojny w piwnicy tej kamienicy. Zdawałyśmy sobie sprawę, że jesteśmy świadkami rozpoznania przez Niemców działań wojennych. Do uszu naszych doszły odgłosy uderzeń pocisków artyleryjskich wysypanych na Grudziądz od strony Gardai.

Po zawiadomieniu koleżanek o konieczności stawiania się u p.Brandtowej i po naradzie z kol.Dylomą postanowiłyśmy, że pojedą do Torunia, aby powiadomić Komendę Chorągwi Harcerzek o zorganizowaniu służby sanitarnej i łączności przez haseerki w Grudziądzu i by otrzymać dalsze instrukcje. Sądziłam, że następnego dnia z nimi wrócę. Pociąg południowy do Torunia był kilkakrotnie ostrzelany z broni pokładowej znajdujących się samolotów niemieckich. Zatrzymywał się, ludność opuszczała wagony, by ukryć się w polu. Dotarliśmy jednak do celu szczęśliwie. Zgłosiłam się w Komendzie Chorągwi. O powrocie do Grudziądza nie było mowy. Skierowano mnie na dworzec główny, bym wzięła udział w akcji opieki nad ludnością ewakuowaną z powiatów zachodnich naszego województwa. Stałyśmy tym osobom w przenoszeniu bagażu, podawaniem ciepłej strawy, herbaty, mleka dla dzieci. Tam spędziłam noc, na drugi wrzesnia i część tego dnia. Widziałam jednak, że w tej pracy doskonale sobie radę dają niejedynie dziewczęta. Poprosiłam więc o inny przydział pracy. Otrzymałam zaświadczenie, że jestem nauczycielką -instruktorką harcerską kierowaną do zorganizowania opieki nad ewakuowanymi w Brodnicy nad Drwęcą. Problem stanowiło, jak się tam dostać? Przez Jabłonowo było to już niemożliwe. W obawie przed wtargnięciem z Iławy w głąb kraju niemieckiego pociągu pancernego wysadzono wiadukt kolejowy w pobliżu stacji kolejowej Jabłonowo. Pozostała droga przez Sierpc. Ale i to okazało się trudne. Z Sierpca nie kierowano już pociągów do Bydgoszczy. Postanowiłam czekać. W holu stacji przebywałam noc z 2 na 3 wrzesnia i dzień następnny dowiadując się u konduktora stacji o możliwości dostania się do Brodnicy.

Aby usprawiedliwić moją notorczywość pokazałem pisno kierujące mnie na placówkę do Brodnicy. Kiedy znalazłem się obywatel z Podziemia Wołyńskiego, szebilitowany z przydziałem do 67 pułku piechoty komendant przedstawił nam sobie i radził pojechać dalej motocyklem, którym ten ostatni przejechał całą Polskę. Po drodze mijaliśmy grupę pieszą straży obywatelskiej prowadzącą kilku aienoców cywilnych, obywateli polskich, którzy okazali się szpiegami. Usuwano ich z terenów pogranicza tak swobodnych Prusami Wschodnimi. Wśród nich zauważyłem młodego człowieka, który kiedyś uczęszczał do gimnazjum w Brodnicy, a następnie przeniósł się do niemieckiego gimnazjum w Grudziądzu. Twarz jego wyrażała wściekłość, ale i lęk o dalsze losy.

## II. W Brodnicy

W Brodnicy sajechaliśmy przed koszary 67 pułku piechoty. Okazało się, że koszary są prawie puste, pułk wynaszerował w lasy ku granicy północnej. Miasto opustoszało, a ludność nie wychodziła na ulice; w domach oczekiwała z lękiem zbliżających się wypadków. Jedyną osobą, jaką spotkaliśmy na głównym rynku był kierownik szkoły Nr 1 ob. *Sobieski*.....  
w mundurze oficera rezerwy. Z żalem stwierdził, że nie jest przewidziana obrona miasta, że na posterunku zostawiono go z małą grupą żołnierzy. Dworzec kolejowy jest nieczynny, pociągi od czasu wyładunku mostu w Jabłonowie nie dochodzą do Brodnicy. Radził mojemu towarzyszowi dołączyć do jakiegokolwiek jednostki, która zechce go uzundurować i zaopatrzyć w broń. Mnie również radził jaknajwcześniej opuścić miasto. Przewidywał, że lada godzina może być zajęte przez wroga. Wdociłem więc tym samym środkiem lokomocji i tą samą drogą do Sierpas. Tu przeżyliśmy parę nalotów na dworzec na którym ugroziliśmy się naszą uciekaniem. Podczas nalotu komendant stacji polecił ludziom rozproszyć się. Ruszyli więc w pobliskie pola sianoczarne i do ogródków przy domkach jednorodzinnych. Po ofiarze tego bombardowania przyjechali samochody z lekarzem z miasta. Pożary gasili i niejscowi i uciekinierzy. Pod wieczór przejechało parę pociągów z wojskiem i rannymi, ale cywilom nie pozwolono wsiadać. Były wiadomości, że wieszono rannych z okolic Chejnic i Borów Tucholskich.

### III. W drodze do Warszawy

O zmiernym kore-dant uzyskał pozwolenie wysłania najbliższym pociągami rosnącej wciąż masy uchodźców. Z ogromnym pośpiechem wsiadała ta gromada zbiedzonych, przerażonych, często chorych ludzi, obciążonych <sup>dobrotami</sup> ~~dobrotami~~ <sup>dobrotami</sup> ~~dobrotami~~. W księżycową noc skierowano nasz pociąg przez Plock, Gostynia do Żychlina. W miejscowości tej byliśmy około południa dnia następnego. Opuścić Żychlina pozwolono nam późnym wieczorem znów w piękną księżycową noc. Stała kolejowa z Żychlina wysłała wkrótce za naszym drugi pociąg. Ten błędnie skierowany uderzył w nasz - wstrząs, szczęk tłuczonych sreb, krzyki ludzi. Ranni opiekowali się lekarze z pociągu wojskowego. Po parogodzinnej przerwie i odłączeniu uszkodzonych wagonów ruszyliśmy dalej w kierunku Kutna. Już w Żychlinie mówiono, że dworzec w Kutnie został zbombardowany i że podróż nasza przed Kutnem się skończy. Rzeczywiście otoczenie dworca w Kutnie przedstawiało się tragicznie. Budynek stacji zniszczony, szyny powyginane, wokół grun. Trudna sytuacja - corobić dalej? Od Sierpca jechał w naszym wagonie oficer kawalerii. Twierdził, że wysłany jest z frontu do części jego pułku, która została na wschodnich rubieżach Polski, a wieziony przez niego bagaż należy do poległego podoficera. Ma go oddać rodzinie. Wino, że nie bardzo budził zaufanie ze względu na fakt, że jechał z kierunku od frontu i z wyposażeniem, choć wiek ten okazał się dla mnie pomocny. Wśród autobusów wiozących uchodźców z poznańskiego i Pomorza znalazł kierownicę, który mimo przeproszenia zgodził się go zabrać. Postawił jednak warunek, że kiedy zabraknie benzyny, oficer zarekwiruje ją w jakiejś stacji benzynowej. Tym samym umożliwił członkom rodziny pocztowców z Kalisza poruszanie się w kierunku Warszawy, gdzie liczyli na opiekę swych władz centralnych. Oficer zaproponował, żeby zabrano i mnie. Ja przedstawiłam się, że jestem nauczycielką i instruktorką harcerską, że nie mam możliwości powrotu do Torunia, a zamierzam dostać się do Warszawy, by tam stanąć do pracy. Przedstawione dowody i legitymacja nauczycielska sprawiły, że zabrano mnie również w ogromnym tłoku. Późnym popołudniem dotarliśmy do Żyrardowa pod Warszawą. Pocztowcy zamierzali tu spędzić noc. Mój przedsiębiorczy towarzysz skierował się do zarządu Zakładów

Wókienniczych, przekonał o konieczności dostania się do Baranowicz na podstawie rozkazu władz wojskowych i spowodował, że samochód, który wiozł do Warszawy pracowników Zakładów Żyrardowskich zabrał i jego. Był on dalej konsekwentny. Przed odjazdem powiedział, że z Torunia jedzie do Warszawy nauczycielka, instruktorka harcerska i poprosił, żeby mnie też zabrali. Zgodzili się. Do Warszawy dotarliśmy o zachodzie słońca 6-go września. Wsiadłem w okolicy dworca głównego w Alejach Jerozolimskich. Tu skończył się pewien odcinek moich losów wojennych.

#### IV. " Pogotowie Harcerak " i praca w Szpitalu Ujazdowskim.

Od dworca poszedłem na ul. Myśliwiecką, gdzie mieściło się t.n.w. "Pogotowie Harcerak." Warszawa była zaciemniona, ale na ulicach ruch obywateli. Była już kilkakrotnie bombardowana. Jak się okazało Niemcy zbliżali się do niej od strony Okęcia. Zgłosiłem swoją gotowość do pracy. Przyjęto, polecono przyjechać następnego dnia. Miałem w Karczewie rodzinę. Odnalazłem w zaciemnionej mieście ulicę Służewską, niezbyt odległą od Alej Ujazdowskich. Przyjęto mnie tam serdecznie, wysłuchano wiadomości o bliskich i prawie tygodniowej wędrówce do Warszawy. W pierwszych dniach w Pogotowiu polecono mi różne prace: przygotowywanie pościeli, bielizny, naczyń ofiarowywanych masowo przez mieszkańców Warszawy dla szpitali. W nocy, kiedy dostrzeżono, że samoloty na miasto ustawały - nosiliśmy posiłki żołnierzom służącym z punktu obrony. Pewnej nocy około 10 września zaniosłyśmy wiadra z supą, przygotowaną przez kobiety z ulicy Wiejskiej na teren Politechniki Warszawskiej. Okazało się, że w okolicach ulicy Grójeckiej i Placu Narutowicza jest już front. Zmęczeni żołnierze już spali. Nie pozwolono ich budzić i posiłek mieli dostać rano, zanim z terenów Politechniki zostaną wysłani, by zastąpić towarzyszy broni na pobliskim froncie. -

Po 10 września skierowano mnie do Szpitala Ujazdowskiego, któremu podporządkowanych było kilkanaście szpitalików obsługiwanych przez harcerki. Powierzono mi dowiolenie żywności do tych szpitali. Na zadzwionym terenie szpitala spotkałem gospodarza z pod Bydgoszczy, który uszedł stamtąd z rodziną i chlebem - służącym. Zgodził się, że odda nam wóz i konia za opiekę karmienia go i przetrzymania przez okres działań wojennych.



Odtąd co dzień rano szłam ze Służewskiej do Szpitala Ujazdowskiego, zgłaszałam ilość rannych i personelu sanitarnego każdego ze szpitali, otrzymywałam dla nich odpowiedni przydział żywności i leków. Były to: kasza, pieczywo, jaja, mleko skondensowane, niekiedy wino. Po załodowaniu z pomocą żołnierzy wędrowałam od jednego szpitalika do drugiego ulicami: Wiejską /2 szpitale/ ~~Piaska~~-Piękna, Mokotowską - (szpital w szkole Wawelberg) i dalej Marszałkowską aż do Królewskiej. Po drodze kolejno obsługiwałam powierzone nam szpitale. Bywało, że nie zastałam szpitala w tym samym miejscu, bo po którymś z licznych bombardowań musiał być przeniesiony z wielkim trudem do całego jeszcze powieszczenia. Kłopoty były z woźnicą. Zrazu przydzielono mi żołnierza, ale ten nie chciał jechać, kiedy był obstrzał. Droga od szkoły Wawelberga wchodziła w Marszałkowską przy Placu Zbawiciela, a stąd biegła druga perspektywa tej ulicy aż do Ogrodu Saskiego. Nad kamienicami gwizdały pociski. Nawoływałam do pośpiechu, byle prędzej znaleźć się z żywnością na Złotej, Siennej, żeby dowieźć ją bez strat. Powołający żołnierz radził, aby zatrzymywać się, ale moim zdaniem nie miało to sensu. Kamienicy stać niebezpiecznie, brawy poszykane, lepiej być w ruchu, podcinać konia i przyspieszać. Miałam studzenie, że w ten sposób unikniemy kul czy odłamków. Po takich kilku przejazdach pod obstrzałem żołnierz się zbuntował, nie pokazał się przed magazynem żywności. Spotkany kilka dni później na terenie parku przyszpitalnego wyjaśniał, "Pani nie pozwala zatrzymywać się przy malocie czy obstrzale. Jako cywil nie zdaje sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa." I sądzę, że miał słuszną rację. Nie były to u mnie dowody wyjątkowej odwagi, jak oceniali członkowie personelu szpitalików i za to dziękowali, - lecz swyczajne poczucie konieczności, by jaknajprędzej wypełnić obowiązki, posyłać się wiezionych leków i żywności. Czekali na ~~nie~~ rannych i służba sanitarna. Po zabraniu zapotrzebowania, na dzień następny wracałam do Ujazdowa. Następnego dnia ~~zabrałam~~ przygotowany zestaw. Dni płynęły w ciągłej walce. Ludności przybywało, byli to uciekinierzy z poznańskiego i Porworza. Zarilk'o radio, ucichł głos prezydenta Starzyńskiego, który podtrzymywał na duchu mieszkańców Warszawy i wydawał polecenia, gdzie potrzebna pomoc. Miałły zapasy żywności. Ludzie z tobozami wędrowali z jednej ulicy-dzielnicy Warszawy do drugiej.

Spaleni szukali schronienia u rodziny czy znajomych. Nosami całe dzielnice płonęły. Ludność miejscowa i napływowa walczyła z pożarami a przasypane gruzem ulice były uprzątane w miarę możliwości jak najszybciej. Kto mógł i jak mógł pomagał w likwidowaniu śladów uhytków w budynkach broniącego się miasta.

Aż przyszedł dzień 25 września, podobnie poza Warszawą pogodny, kiedy setki samolotów bez przerwy, przez wiele godzin bombardowały miasto. Dymy pożarów zakryły niebo. Słońce na tle ciemnego sklepienia podobne było do jaśniejszego krąka. Ale żywność jednak trzeba było dowieźć. Mogłem to uczynić dopiero o zmierzchu, kiedy ustały naloty bombardujące i zmalał dostrzeżony artyleryjski. Po kilku takich dniach dowództwo obrony Warszawy zdecydowało, że dalszy opór jest już niecelowy. Brak wody, żywności, brak dachu nad głową dla setek tysięcy ludzi - stałych mieszkańców i uchodźców musiało do przyjęcia warunków kapitulacji.

W dniu, kiedy uciekły strzały zaparkowało najpierw zdziwienie dla niecodziennego zjawiska, a potem oburzenie i żal do podpisujących zgodę na kapitulację. Ludność Warszawy chciała dalej walczyć. Dajmy zastrzeżenie było dla mnie, kiedy w grudniu 1964 roku otrzymałem w podarunku od koleżanki książkę Marii Kann "Niebo nieznane". Okazało się, że kierowniczką jednego z szpitali harcerek na ul. Siemnej, była autorka tej książki. We wspomnieniach z dni obrony Warszawy była uprzejmie napisane kilkanaście żywych zdań o nauczycielce z „polskiego” Anieli Kowalskiej, która zaopatrywała jej szpital w żywność / str. 14, 29 i 30/.

Również w dziele "Cywilna obrona Warszawy" we wrześniu 1939r, wydany przez PWN w 1965 roku, które ofiarowało mi grono nauczycielskie II Liceum Ogólnokształcącego, gdzie pracowałem 17 lat - ołowiana jest praca szpitali harcerek, wspomniano tam o moim udziale. Wprawdzie opisano tam pracę Jani Kowalskiej z Torunia /str.193,194/, ale na to imię uzyskałem dokumenty w czasie okupacji za drugim powrotem do Warszawy, kiedy zatrudniona byłam w Domu Dziecka Rodziny Wojskowej - również prowadzonego przez harcerstwo / patrz punkt VIII.../

## V. Po kapitulacji - znów na Pomorzu .

Dla mieszkańców Warszawy nastąpiły dni równie tragiczne, jak dni obrony. Kiedy do poszczególnych dzielnic miasta wchodziły oddziały niemieckie, a wychodziły zniszczone, bez broni wojskowe polskie. Kolumny wkraczających Niemców składały się z ludzi sprowadzonych z zaplecza, dobrze się prezentujących, żeby swoim widokiem przygnębić mieszkańców zniszczonej stolicy i żołnierzy polskich. Na twarzach Polaków rysowały się wyrazy bólu i nienawiści na widok naszerzających oddziałów butnego, zwycięskiego wroga. Chodziłam po Warszawie szukając możliwości powrotu do rodziny, wiadomości, czy ruszą pociągi na zachód Polski. Spotkałam wtedy koleżankę - nauczycielkę z Torunia, Wandę Fryszakówną, która również znalazła się w Warszawie i pracowała na kółkach z placówek harcowskich. Postanowiłyśmy wracać razem. Dowiedziałyśmy się, że z Dworca Zachodniego odchodzą pociągi na północny zachód Polski. Trzeciego października, w zimny, jesienny poranek wagonami towarowymi wyruszyli obywatele Pomorza i woj. poznańskiego w drogę do swoich domostw, niepewni, co ich tam czeka. Wśród ludzi nastroje były tragiczne. Zniechęcenie, rozpacz, przekleństwa, pretensje do rządu, który opuścił Polskę, pretensje do wyższych dowódców, że nie walczyli na czele. To ostatnie nie było zgodne z prawdą, bo walczyli i ginęli zarówno oficerowie niśskich stopni jak i generałowie. Podczas tych utyskiwań saviędzionych żołnierzy padło bardzo charakterystyczne zdanie: " Najdzielniej walczyli i dowodzili oficerowie rezerwy, a wśród nich nauczyciele." - O szierzołu przyjechaliśmy do stacji Toruń Główny. Tu kończyła się droga pociągu. Most na Wiśle został w pierwszych dniach wojny wysadzony. Ktoś poprowadził naszą grupę ścieżynami wśród zarośli i trzcin do przeprawy przez rzekę. Łódziami przewożono nas na drugi brzeg. Przez ciemny, jakże inny Toruń niż ten, który zostawiliśmy w pierwszych dniach września dotarliśmy do mieszkania kol. Wandy przy ulicy Grudziądzkiej. Gospodyni zalekciona oznajmiała, że przedstawiciele " Schutzpolizei" wraz z cywilami z opaską hitlerowską dowiadywali się już o mieszkającą tu nauczycielkę. Narada, co czynić dalej? Wanda postanowiła szukać w dniu następnym kontaktu z nauczycielami, którzy ocalili. Ja decydując się wyjechać do Grudziądza. Mimo braku zezwolenia na przejazd ryzykuję tę podróż.

Udało się, nie było kontroli. Zatrzymuję się u kol. Dylówny, oddaję powierzone mi w Warszawie listy do rodziny jednej z nauczycielek. Grudziądz zastałam w powodzi flag hitlerowskich. Ruch na ulicach mały. Mieszkańcy przerażeni liczącymi aresztowaniami i wyrokami śmierci. Wśród aresztowanych wielu nauczycieli. Po kilku dniach pojechałam do matki, do Brodnicy, która podczas działań wojennych przebywała na wsi u znajomych. Zaśw bez przepustki, ale i tym razem się udało. Nie melduję jednak swego przyjazdu, choć obowiązywało rozporządzenie władz niemieckich. Nie wychodzę z domu. Do mieszkania naszego przychodzi co kilka dni nienka z sąsiedniej ulicy, która znała nas od dzieciństwa i dopytuje się, czy nie wróciliśmy obie z siostrą, również nauczycielką. Interesuje się również tym, gdzie jesteśmy. Przynosi wiadomości, którzy nauczyciele wrócili do miasta, kogo już aresztowano. Jest pełna satysfakcji i nienawiści. Chwali się tym, jakie stanowisko zajmuje we władzach miasta jej siostrzeniec - absolwent gimnazjum niemieckiego w Grudziądzu, a niegdyś uczeń gimnazjum brodnickiego. Postanawiamy opuścić Brodnicę.

#### VI. W poszukiwaniu pracy na terenie pow. gostynińskiego

Dochodzą wieści, że na Wierzą, na Płockian, w powiecie gostynińskim i kutnowskim istnieją polskie szkoły. Niemcy nie zdecydowali jeszcze, czy mają te tereny włączyć do Rzeszy, czy do tzw. Generalnej Gubernii. Pojechałam przez Sierpc, Płock do Gostynina. W pociągu spotykam nauczycielkę z Torunia, która też kieruje się w te strony i w tym samym celu. Inspektorem szkolnym w Gostyninie jest były nauczyciel jednej z szkół wiejskich niemieckich - wych, dla dzieci kolonistów niemieckich. Urodzony, wychowany, wykształcony w Polsce, bez baty niemieckiej daje nam kilka adresów szkół w powiecie gostynińskim. Radzi powędrować do tych miejscowości, zdecydować się na jedną z nich i zorganizować nauczanie. Napotykamy jednak na trudności. Ludność polska zestraszona nie zawsze ma odwagę współdziałać w zorganizowaniu szkoły. Wędrówka trwa tydzień. Każda z nas poszła w inną stronę. Wybrałam kierunek na Gąbin. Okolice ogromnie niszczone, wioski spalone, miasteczko również w gruzach. Miały tu niejako ciężkie boje we wrześniu. Zapadła noc, szukam schronienia w szkole. W domu kierownika w dużym, słabo oświetlonym pokoju zastaję kilka kobiet.

Legitymuję się prosząc o seswolenie spędzenia nocy pod dachem . Przyjmują. Okazuje się, że zebrały się tu żony kilku tutejszych i okolicznych nauczycieli. Przygotowują paczki, bo wczesnym rankiem wybierają się do Łodzi, by uzyskać seswolenie na widzenie się z aresztowanymi wężami, których tam uwięziono. Panuje atmosfera przygnębienia, ale nie salawania. Do aresztowania przyczynili się tutejsi Niemcy - koloniści. Rozłożono materace - próbujemy zasnąć. One za kilka godzin wyruszą do Łodzi. Następnego dnia wracają do Gostynina i kierują się w stronę Łącka. Mijam jezioro Białe, nad nim jednoklasowa szkoła we wsi Białe. Pokój nauczyciela w takim stanie, jak zostawił idąc na wojnę: sprzęty, biblioteczka, pościel. Rozmawiam z sołtysem i innymi gospodarzami. Decydują się pomóc w rozpoczęciu zajęć i przysłać dzieci. Muszę o tym zawiadomić inspektora w Gostyninie i matkę, która tymczasem przeprowadziła się z Brodnicy do Sierpca. Nastąpił okres względnie spokojnej pracy, jeśli nie brać pod uwagę licznych wybryków tutejszych Niemców, wścizających się na rowerach, z opaskami na rękach, grożących represjami i przechwalających się swoją władzą. Dzieci uczyły się chętnie, rodzice zadowoleni, że one nie próżnują. Zamieszkałam w pokoju mojego poprzednika, o którym mówiono, że prawdopodobnie sginął w wrześniu, jako oficer rezerwy. Czas wolny poświęcałam na wędrówki po okolicy wzdłuż jeziora, obserwowałam połowy ryb w ziele pod lodem. Właściciel jeziora Białe, obecnie tylko kierownik połowów okazał się mężem nauczycielki z sąsiedniej wsi. Pani Helena Stańczyk nie pracowała w szkole. Zajmowała się domem i wychowaniem 11-letniej córki. Do miejscowości w której pracowała przed wojną miała kilka kilometrów. Zrezygnowała. Życie w ciągłym lęku o męża, który wprowadził był zatrudniony przez Niemców jako rybak, ale miał też wiele przykrości po aresztowaniu i wywiezieniu do Dachau brata <sup>me</sup> nie uspieszbiało jej do pracy zawodowej.

Do końca lutego 1940 roku pracowałam we wsi Białe . W pierwszych dniach marca zostali aresztowani wszyscy nauczyciele mężczyźni w powiecie gostynińskim, a nauka w szkołach polskich została zawieszona. Inspektorem szkolnym był już Niemiec z Rzeszy, niesympatyczny, a nawet odpychający typ. Nie pozostało mi więc nic innego, jak wracać do Sierpca, gdzie matka moja i babcia również były nauczycielki utraywywały się z lekcji. Przychodziły do nich na naukę dzieci paru rodzin z dawna tu osiadłych przynosząc w zamian produkty, jak : mąkę, kaszę, mleko.

Tymczasem pp. Stańczakowie zaproponowali mi, żebym przeniosła się do nich i zajęła się nauką ich córki i <sup>dwu</sup> starsi bratanków ofiarując mi za to utrzymanie. Zgodziłam się chętnie. Latwiej mi tu było przeżyć niż w mieście zalanym Niemcami z Rzeszy i <sup>tab</sup> ~~okupowanych~~ Prus Wschodnich. Wśród mieszkańców żyjących pod ciągłym terrorem, <sup>no</sup> przy parokrotnym wywołaniu ludności do obrotu w Ciechanowie. Do ich mieszkańca przesiedlono rodziny pozostałych jeszcze mieszkańców Sierpca. Propozycja koł. Stańczakowej zbiegła się z innym ważnym dla mnie faktem. Siostra moja, która po wojennych wędrówkach dotarła do Warszawy znalazła pracę w prywatnej szkole na Okęciu. Mieszkanie - <sup>dom</sup> pokój otrzymała w byłym domu akademickim przy Politechnice Warszawskiej. Gmach ten zamieniono na <sup>dom</sup> gmach dla wysiedlonych. Znalazło się tam wiele osób z woj. poznańskiego, Pomorza, Śląska, skąd okupant usuwał obywateli polskich grabiąc ich mienie osobiste, urządzenie mieszkań. Było wśród nich wielu przedstawicieli nauczycielstwa z różnych rejonów kraju. Domem tym administrowało RGO - Rada Główna Opiekuńcza - centralna polska instytucja opieki społecznej, działająca w Generalnej Gubernii od 1940 roku do 1945 roku. Inspektorami szkolnymi byli Polacy, lecz władzę nad nimi sprawował Niemiec Fuchs, absolwent polonistyki we Lwowie, a następnie nauczyciel języka polskiego w grudziądzkiej Goethe - Schule. Siostra poczyniła starania, aby i dla mnie znaleźć pracę w Warszawie lub okolicy. Użyła ją we Włochach pod Warszawą, ale o tym żeby wydestać się z powiatu gostynińskiego nie było mowy. Wielokrotnie i wielomiesięczne wędrówki do odpowiednich władz niemieckich w Gostyninie i staranie o zezwolenie na wyjazd do GG nie przynosiły skutku. Zastwiono mnie odmownie, mimo że legitymowałam się telegramem, że otrzymałam tam pracę, i że nie będę ciężarem w zaludnionej ponad miarę Warszawie.

### VII. Żaków w Warszawie i okolicy.

Wreszcie po 10 miesiącach starań, w połowie stycznia 1941 roku otrzymałam przepustkę i przez Kutno z moim bagażem dotarłam do Warszawy. Posada we Włochach była już zajęta, przemierzono mnie do szkoły nr 6 w Pruszkowie. W parę tygodni później uzyskały pozwolenie na opuszczenie Sierpca matka i babcia. Przyjechały zostawiając wszystko, co posiadały,

2/1/44

na dodatek Niemcy w Nasielsku ograbili je z całej ilości produktów żywnościowych, jakie wolno im było zabrać. Zamieszkałyśmy w jednym pokoju, we cztery, w domu dla wysiedlonych. Obie z siostrą wyjeżdżałyśmy rano do swoich szkół. Po powrocie z pracy obchodziłyśmy kolejno po posiłki do jadłodajni dla wysiedlonych - otrzymywane po niskiej cenie. Zarobki nas obu wystarczały zaledwie na wykupienie produktów przydziałowych o bardzo niskiej wartości odżywczej. O tym, żeby dokonywać zakupów na czarnym rynku nie było mowy, bo ceny tam przekraczały wielokrotnie nasze możliwości.

W Pruszkowie, gdzie pracowałam, my nauczyciele otrzymywałyśmy niekiedy coś z żywności, dzięki zabiegom rodziców naszych uczniów. Ze wzruszeniem wspominam, że na pierwsze święta wielkanocne przywieziono bochenek białego pszennego chleba, upieczonego przez któregoś z ojców naszych uczniów, dla członków grona nauczycielskiego. Praca w szkole układała się pomyślnie, choć z ograniczonymi okrojonymi przez władze niemieckie programem. Zamiast czytaniek polskich było redagowane pod zarządem niemieckim pismo "Stor". Ale jasne, że nie ograniczaliśmy się do ram programu. Przy każdej okazji poszerzało się o wiedomości z historii i geografii Polski. Podzieliliśmy się, że zapisać może tylko to, co wolno, a słuchać wszystkiego, co konieczne dla polskiego dziecka.

Mimo dojazdów do pracy, co absorbowało czas, odczuwałyśmy, że to nie wszystko, że należałoby zająć się jakąś pracą pozaszkolową. Za pośrednictwem koleżanek - mieszkanek naszego domu i dawnych znajomych z Wybrzeża związałyśmy się z grupą ludzi redagującą pismo konspiracyjne. Wciągnęłyśmy się do ich kolportażu. Po powrocie z Pruszkowa parę razy w tygodniu szłam na punkt rozdzielczy - róg Polnej i Oleandrów - odbierałam paczki z prasą i rozwoziłam w swojej nauczycielskiej torbie. Poznawałam wtedy dobrze okupacyjną Warszawę: Powiśle, Żoliborz, Wola to były tereny obsługiwane przez nas. Odbiercami byli przedstawiciele różnych zawodów: kilka osób z inteligencji technicznej - /po wojnie pracownicy naukowcy na Politechnice Gdańskiej/ nauczyciele, pracownicy więzień na ulicy Daniłowiczowskiej i Pawiaku, robotnicy z Woli, ludzie niegdyś rozmaitych zawodów udający teraz kupców, rzemieślników, członków spółdzielni pracy. Wszędzie spotykałam się z życzliwym przyjęciem.

Na opaskach gazetek nie było adresów lecz hasła, pseudonimy. Niektóre z nich zapamiętałam: Inżynier, "Zbój", "Skoczek", "Frankenstein". Rozwoziłyśmy i inne niekoniecznie legalne przedmioty. Pewnego razu transportowałyśmy tramwajem ciężką paczkę z zapalnikami do broni, do tegoż "Frankensteina" na ulicę Wilecką. Jeden przystanek wcześniej weszli Niemcy i zaczęli oglądać to i owo w bagażach wiezionych przez pasażerów. Ustawiliśmy się jak najbliższej wyjścia, żeby zdążyć wysiąść zanim dotrą do nas. Udało się tym razem, ale przez parę minut skóra na nas cierpiała. Towarzyszyła mi wtedy Jadwiga Sitkowska, koleżanka z Seminarium Nauczycielskiego w Inowrocławiu, późniejsza żona Ryszarda Degórskiego - po wojnie wiceprezydenta miasta Grudziądz, a następnie starosty grudziądzkiego w latach 1945-1948. Innym razem polecono mi przenieść na punkt szkoleń Podchorążówki Szarych Szeregów - karabin z ulicy Radnej przy Dobrej wzdłuż Solca pod mostem Poniatowskiego do ulicy Rozbrat. Owinięto go w zrulowany dywan. Niosłam go z siostrą Ireną, ubezpieczało nas paru chłopców po drugiej stronie ulicy. -

Czas dzieliłam między pracę nauczycielską i kolportażem. Trwało to do marca 1942 roku. W pierwszych dniach tego miesiąca punkt rozdzielczy został wykryty przez Niemców, pracownicy aresztowani. Niestety - znaleziono notes zawierający adresy nasze, a także naszych przyjaciół na terenie Pomorza u których kurier wysłany do tej części kraju mógłby znaleźć schronienie i pomoc. Trzeciego marca, kiedy wróciłam z pracy, siostrze mej, która poszła płacić za mieszkanie powiedziano, że było gestapo, przeglądali księgi meldunkowe, a zatrzymali się dłużej na stronie, gdzie była notatka mojego meldunku. Czym prędzej zniszczyłyśmy gazetki przechowywane w pokoju, zabrałyśmy drobiazgi i wyszłyśmy z domu. Był mroźny zimerch. Siostra pojechała do znajomych na Powiśle, ja do Pruszkowa do jednej z koleżanek z mojej szkoły. Następnego dnia miałam zamiar pójść do pracy, koleżanka stanowczo się temu sprzeciwiła. Zamknęła mnie w swoim mieszkaniu i poszła do szkoły obiecując zająć się moją klasą. W południe wróciła wzburzona "wiesz, byli po Ciebie, grozili kierownikowi karą, że nie wie, co się dzieje z nauczycielką tej szkoły." Tunaczył, że ma ze mną mały kontakt, bo dojeżdżam rano, a w południe wracam do Warszawy.



219/46

Dziś nie stawiłam się do pracy. To wspomnienie odświeżyłam w tym roku w lipcu. Pojechałam do Pruszkowa, aby odnaleźć koleżankę, która przeszło 30 lat temu uratowała prawdopodobnie mi życie. Nie zastałam jej, przeniosła się przed kilku laty w inne okolice Polski. Odnalazłam koleżankę M. Kalbarczykówną, żonę byłego kierownika tej szkoły, którego Niemcy zabrali jako zakładnika i rozstrzelali we wrześniu 1939 roku. Wówczas, kiedy pracowałyśmy razem, budziła się wraz z synami, że może być żyje, że jest gdzieś w obozie. Prawda okazała się inna. Pochowany jest w Palmirach pod Warszawą. Po wojnie jej powierzono kierownictwo tej szkoły.

Wracam do momentu wyjścia z domu. Umówiłyśmy się z siostrą, że następnego dnia spotkamy się u znajomych przy Placu Narutowicza, a co się będzie działo w domu - miała nas zawiadomić jedna z nauczycielek - sąsiadka. Wróciłam do Warszawy, lecz wysiadłam wcześniej w Szczęśliwicach. Siostrę zastałam w umówionym miejscu, miała już wiadomość telefoniczną podaną stosowanym wówczas szyfrem: "Stan chorych jest groźny, nocą odbyło się konsylium, badania nie dały wyników." Wiadomo więc było, że powrót do domu stał się niemożliwy. W nocy było w domu Gestapo. Zaskoczeni, że nas nie ma, wściekli, że się wymknęłyśmy. Matka wyjaśniała, że poszłyśmy na imieniny koleżanki Kazimiery i że nie wróciłyśmy przed godziną policyjną. Adresu tej koleżanki nie zna. Przez tydzień tułałam się u znajomych w różnych punktach Warszawy od Polcowizny na Pradze po Czerniaków. Wreszcie zaczęłam szukać kontaktów z organizacją harcerską, z którą tak ściśle byłam związana podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku. Okazało się, że cała grupa nauczycielek z Torunia, harcerek-instruktoerek, jest w Warszawie i okolicy zatrudniana w sekcji opieki nad dziećmi, organizowanej przez RGO. Kierowniczą jednego z domów - internatu dla chłopców na Żoliborzu przy ulicy Czarnieckiego jest komendantka byłej Pomorskiej Chorągwi Jadwiga Luśniak. Skierowała mnie do biura tej sekcji, gdzie zastałam inną z nauczycielek toruńskich, Irenę Rieśówną / zginęła później w powstaniu warszawskim/. Po przeprowadzeniu ze mną rozmowy na temat mojej pracy w kolportażu prasy, wysłano mnie do jednego z domów dziecka w okolicach Warszawy, w Konstancinie. Żeby nie kompromitować ich, jako poszukiwana przez gestapo, zamierzałam zmienić nazwisko. Dostałam jednak do wniosku, że przy tak często spotykanych, jak moje, wy-

wystarczy zmienić imię. Postarano się dla mnie o Kennkartę na imię Janina Kowalska. Odtąd na kilka lat zostałam Janką tak, że później trudno mi było przyzwyczaić się ponownie do Anieli.

O miejscu mego pobytu wiedziała tylko siostra, matce powiedziała, że jestem w bezpiecznym miejscu. Było to konieczne, bo wizyty Niemców powtarzały się kilkakrotnie, więc śmiało mogły mówić i matka i babcia, że nie wiedzą gdzie jesteśmy. Coraz znacznie potoczyły się losy koleżanki z Inowrocławskiego Seminarium Nauczycielskiego - Jadwigi Sitkowskiej-Dagórskiej. - Po kilku miesiącach odnalazło ją Gestapo. Została aresztowana, a następnie wywieziona do Oświęcimia. Przeżyła tam do stycznia 1945 roku. Pędzona wraz z innymi, odbita została przez armię radziecką, dotarła do Krakowa, gdzie miała rodzinę. Stamtąd zabrał ją mąż i przywiózł do Grudziądza. Pracowała tu przez kilka lat w Banku Narodowym.

#### VIII. Praca w szkolnictwie tajnym, zorganizowanym w Konstancinie.

W Konstancinie, w willi "Piaski", gdzie mieścił się zakład dziecięcy przyjęto mnie serdecznie. Powierzono mi grupę chłopców od 7 do 14 lat i nauczanie klasy V i VI. Grono wychowawczyń i nauczycielek składało się z osób wysiedlonych przez Niemców lub poszukiwanych przez nich, z Pomorza, Wielkopolski, Łodzi, Śląska. Spośród miejscowych - prócz personelu kuchennego - była jedyna warszawianka dr biologii Karolina Lubliner-Mianowska. Pełniła ona rolę "pani ogrodniczki" ciężko fizycznie pracując w ogrodzie z przydzielonym jej 17-letnim chłopakiem. Pomagały jej też dzieci np. hodowały króliki. Po wojnie została ona pracownikiem naukowym na Wydziale Farmacji Akademii Medycznej w Gdańsku. Mimo dużej różnorodności pochodzenia z różnych stron Polski atmosfera była wśród nas serdeczna, co sprzyjało naszej pracy z młodzieżą. Nasi podopieczni byli dziećmi ludzi wywiezionych do obozów, najczęściej oflagów. Oburzały się, bo przykro im było, kiedy na wycieczce przechodnie mówili o nich - sieroty. Wierzyły, że ojcowie do nich wrócą, a wiarę tę podtrzymywałyśmy uparcie.

Tryb życia w domu prowadzony był systemem kolonijnym, z regularnymi posiłkami, ciszą poobiednią, przeżywaniami na powietrzu w dużym parku - lesie otaczającym "Piaski", wycieczkami w okolicę.

1/1/48

Wśród innymi odwiedzaliśmy na cmentarzu w sąsiednim Skolimowie grób ulubionego przez młodych czytelników Macława Gąsiorowskiego, autora powieści z okresu napoleońskiego "Harsagan", "Rok 1809". Książki te posiadałyśmy w bibliotece domu. Zmarły był przed wybuchem wojny wójtem osiedla Skolimów

Nauka odbywała się jak w szkole, w godzinach przedpołudniowych. Podręczniki dostarczała nam kierowniczka szkoły nr 136 <sup>w Warszawie</sup> Maria Jiruska. Ona też miała pieczę nad przebiegiem zajęć dydaktycznych w zakładzie. Realizowałyśmy pełny program szkoły podstawowej z przed września 1939 roku. Zadania domowe były stosowane w pewnym zakresie, żeby przyzwyczajać dzieci do samodzielnej pracy, lecz w razie trudności mogli zwracać się do nauczycielki, która była w pobliżu. Książki dzieci posiadały. W grupie wiadomo było, co z nimi robić, gdyby zjawili się nieproszeni goście. Od domu do bramy było dość daleko. Zanim na dzwonek alarmowy doszła do bramy kobieta, która zasadniczo zajmowała się praniem i pomocą w kuchni - już znikały kompromitujące materiały. Razem z wychowawczyniami dzieci wykonywały szereg prac w domu. Codzienne sprzątanie sypialni i pokoi: nauki, jadalni, świetlicy. Zajmowały się też utrzymaniem w porządku grządek z kwiatami i alejek w otoczeniu domu. Szczególnie współzawodnictwo rozwijało się między grupami podczas wiosennego i jesiennego porządkowania terenu wokół domu, a następnie w opiece nad przydzieloną im częścią parku.

W dniach rocznic - ważnych w historii Polski urządzałyśmy ogniska - kominki, przedstawienia, inscenizacje piosenek ludowych i wojskowych. Zasadniczo każda z nas była z swoją grupą cały dzień przy nauce, posiłkach, pracy, wyciu itp. Posiłki starano się przygotowywać w miarę - urozmaicone. Ilościowo były wystarczające, choć nie wyszukane. W produkty żywnościowe zaopatrywało dom RGO, jarzyny dostarczała nam ogród warzywny, który prowadziła wspomniana już "pani ogrodniczka". Raz w miesiącu młodzież naszego domu była odwiedzana przez krewnych i opiekunów, bardzo często przez matki. Były to zawsze dni uroczyste. W innych momentach można było również odwiedzać naszych pupilów. Dzieci, które kończyły 14 lub 15 lat przenoszone były do internatów dla młodzieży w Warszawie. Tam uczęszczały do szkół zawodowych, dozwolonych

21449

doswoleonych przez okupanta. Naukę reszty przedmiotów pobierały w domu od swych wychowawców i nauczycielek w przeważającej ilości pochodzących z terenów włączonych do Rzeszy.

Z pośród najbliższych koleżanek w pobliskim Skolimowie, gdzie wieścił się również Dom Dzieciący, pracowały:

- 1/ Zofia Dudzik, nauczycielka z Torunia, po wojnie również pracująca w tym wieście,
- 2/ Wanda Biernacka, obecnie w Tezewie,
- 3/ dwie siostry Kardasińskie - Jadwiga i Sabina, również z Torunia,

Przez pewien okres pracowała tam również kol. Bogusława Uram - kówna z Grudziądza, obecnie Szpilły.

Po dłuższym pobycie <sup>moim</sup> meze w Konstancinie pewnej niedzieli koleżanka z domu dla wysiedlonych przy ul. Polnej przywiezła moją matkę, nie uprzedzając, że ma spotkanie. Zdziwienie matki mojej i wzruszenie było ogromne, przekonała się, że zgodnie z prawdą, jestem w dość bezpiecznym miejscu i że konieczne było, by <sup>o tym</sup> nie wiedziała. Podczas powtarzających się odwiedzin gestapo mogła śmiało powiedzieć, że nic nie wie. Wywiadowcy przychodzili pod różnymi postaciami. Raz był to mężczyzna mówiący dobrze po polsku, ubrany w bryczesy i buty z cholestami / strój popularny wśród młodych Polaków podczas okupacji/. Na palcu miał pierścionek z orłem na biało-czerwonym tle. Bawił się nim odalechceni, pytał, gdzie mógłby się z nami zobaczyć, że jest naszym znajomym z przed wojny. Prowokujące jego zachowanie nie zmyliło mamy, trzymała się dzielnie. Ale co przeszła podczas tych wizyt do - myślić się nie trudno. Często wspominała to za życia.

Zdaję sobie sprawę, że nie moja osoba interesowała władców III Rzeszy, było im wiadomo, że miałam kontakty z wielu osobami - adresatami kolportażu prasy. To ich skłaniało do poszukiwania mnie. W kilka miesięcy po aresztowaniu w Warszawie ludzi, z którymi współpracowałam, z Brodnicy nad Drwęcą przywieziona zostałam do Grudziądza przyjaciółka moja z lat dziecińczych i szkolnych Jadwiga Muzioł. Jak mi po wojnie opowiadała, Niemcy trzymali ją w piwnicy naprzeciwko szkoły nr 8, i w Gestapo przez dłuższy czas, indagowali ją, co wie o mnie, czy utrzymywała ze mną kontakty, czy przyjeżdżała w swym domu osobą, powołując się na mnie. Ponieważ rzeczywiście od 1939 roku nie utrzymywałyśmy z sobą korespondencji śmiało mogła twierdzić, że nic nie wie o

o miejscu jego pobytu. Chora na serce po pewnym czasie zwołano. Była to jedna z ofiar nieodpowiedzialnych metod konspiracji. Adres jej znaleziono we wspomnianym już notesie podczas aresztowań w punkcie rozdzielczym pracy w Warszawie.

Podczas pobytu w Konstancinie w Domu Dziecka oprócz opieki nad młodzieżą podejmowałyśmy również inne prace. Dojeżdżałyśmy do Piasieczna, by szkolić tamtejszą młodzież w zakresie służby sanitarniej. Była kierowniczką szkoły w Piasiecznie w domu swym w niedzielę zbierała po kilka dziewcząt, by je przygotować jako sanitariuszki. Byłyśmy pełną uznania i czcią dla tej starszej koleżanki, która z narażeniem życia organizowała w swoim mieszkaniu zespoły dla potrzeb zbliżającego się powstania.

Ponieważ w programie odbudowy wolnej Polski zakładano powrót do Macierzy Warmii i Mazur, przygotowywano ludzi do pracy na te tereny. Władze nasze nauczycielsko-harcerskie organizowały kursy zapoznające z historią, krajoznawstwem, stosunkami gospodarczymi, obyczajami ludności tych ziem. Kilka z nas dojeżdżało do Warszawy i tam w różnych punktach, w mieszkaniach prywatnych lub naszych internatach czerpało wiedzę o tych ziemiach. Wykładał profesorowie różnych specjalności. Szereg osób znalazło się po wojnie w szkołach województwa olsztyńskiego czy gdańskiego po prawym brzegu Wisły.

W połowie lipca 1944 roku Niemcy kazali nam opuścić "Piaski" Wywieśliśmy dzieci i ich rzeczy osobiste do Józefowa koło Otwocka gdzie koleżanki-nauczycielki przeważnie z naszych terenów prowadziły zakład dla dzieci o słabszym zdrowiu. W klinice Otwocka, wśród lasów, miały regenerować siły. Około 19 lipca 1944 roku otrzymałam urlop, by odwiedzić matkę, która wraz z babcią przebywała w Chotomowie koło Jabłonnej. Tam dostały nas wiadomości o zamachu na Hitlera i o zbliżaniu się wojsk radzieckich od Lublina. Stamtąd zostałam wezwana do meich pracodawców na ul. 6-go Sierpnia /dziś Nowowiejska/ róg Służewskiej. Tam mieścił się internat dla dziewcząt. Młodzież była rozesłana na lato do znajomych, krewnych, opiekunów. Internat przygotowywano na szpital, bo wiadomo było, że moment powstania się zbliża.

## IX. Powstanie warszawskie .

Przed ostatniego lipca, kiedy zgłosiłam się na ul. 6-go Sierpnia skierowano mnie do domu dla starszych ochotców na Żoliborzu przy ul. Czarnieckiego. Stanowisko kierowniczkę piastowała tu była komendantka Chorągwi Pomorskiej Jadwiga Luźniak. Ochotcy z tego internatu przebywali na kolonii letniej w Zalesiu pod Warszawą. Zwolniony przez nich lokal przygotowany był na szpital powstańczy. Kompletowałyśmy pościel, bieliznę, opatrunki, leki. Około południa 1 sierpnia 1944 roku odwołano mnie ponownie na ul. 6-go Sierpnia z poleceniem wyjazdu do Lublina w jakiejś misji. Poprosiłam o godzinę zwłoki, abym mogła wziąć od siostry z Powiśla drobniutki potrzebne w podróży. Kiedy wracałam z ul. Radnej na Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat już po ulicach od bramy do bramy przebiegali młodzi mężczyźni w płaszczach - często prochowcach, mocno opięci pasami i wypchani bronią i nabojami. Kiedy dotarłam do Placu Trzech Krzyży dały się słyszeć strzały. Tramwaje stanęły, ludzie zaczęli chować się do bram. Również uzbrojeni Niemcy szukali schronienia pod ścianami domów. Droga moja od tego placu ul. Mokotowską w kierunku 6-go sierpnia trwała kilka godzin. W paru bramach w których ukryli się przechodnie Straż Obywatelska z biało-czerwonymi opaskami zatrzymywała ludzi, bo wokół trwały już walki; na ulicy Koszykowej płonął niemiecki czołg podpалony granatami powstańców. Wreszcie u wylotu Mokotowskiej do Placu Zbawiciela przy barykadzie dowiedziałam się, że pod pożądanym adresem mogę dostać się piwnicami. Już w tym dniu Warszawa była przygotowana do komunikacji podziemnej. Poprzebijano ściany piwnic, przejścia opatrzone tabliczkami-drogowskazami: do ulicy Koszykowej 35 lub do ul. Służewskiej 10 itp. Kiedy znalazłam się w internacie na 6-go sierpnia wyjeżdżać do Lublina naturalnie już mowy nie było. Zostałam tu nasze koleżanki i wychowawczynie, cztery łączniczki, cztery sanitariuszki, lekarkę. Sale wyposażone były w łóżka, pościel, stosy bielizny. Szpital gotowy był na przyjęcie rannych. Wybór punktu okazał się niefortunny: dom narożny, okna wychodziły na ulicę 6-go sierpnia graniczącą z dzielnicą niemiecką. W sąsiedniej kamienicy - Służewska 3 - mieściła się jakaś niemiecka organi-

organizacja paramilitarna. Byłyśmy otoczone Niemcami, przygotowane do niesienia pomocy, ale bez możliwości jej realizowania. Nastrój wśród nas był przykry. I dorośli i młodzież czułyśmy się nieużyteczni. Trwało to parę dni. Jednego z nich, kiedy wracałam ze szpitala na Marszałkowskiej, gdzie pracowały nasze koleżanki, spotkałam w przejściu piwnicznym personel z 6-go sierpnia biegnący w przeciwnym kierunku. Poleciły mi wracać z sobą w kierunku szpitala skąd przyszedłam. W czasie mej nieobecności Niemcy granatami przebili się z sąsiedniego domu na Stulewskiej. Inna ich grupa wkroczyła na podwórze. Rozkazali wszystkim mieszkańcom wychodzić do bramy. Z naszego zespołu część osób posłuchała rozkazu i znalazła się na podwórzu. Tam Niemcy zabili i już więcej ich nie zobaczyłyśmy. Była wśród nich koleżanka z Torunia Irena Ries i kilku innych wraz z paru dziewczętami. Druga grupa przeszła do schroniak i piwnicami postanowiła przechodzić do sąsiednich kamienic. Te osoby właśnie spotkałam i przez tam z nimi do szpitala na Marszałkowską. W parę godzin później wróciłyśmy do naszego dawnego locum. Okazało się, że Niemcy nie tylko zabrali mieszkańców, ale dom podpálili pociskami zapalającymi. Próbowaliśmy gasić, ludzie z sąsiednich kamienic pomagali ale okazało się to mało skuteczne. W dniu następnym do szpitala na Marszałkowską przyszło kilka naszych dziewcząt. Powiedziały, że razem z dorosłymi zaprowadzono je na Plac Unii Lubelskiej, do hali Straży Pożarnej. Dnia wypuszczono je z poleceniem, żeby przynieśli swłoki paru oficerów niemieckich, którzy zginęli z rąk powstańców w okolicach ul. Żłotej. Obiecali, że za to zwolnią je i z nimi szereg innych osób. Wiedziałyśmy, że ta obietnica nigdy nie zostanie spełniona. Dziewczęta zatraywałyśmy. Zapadło postanowienie, aby podjąć inną akcję, jak się okazało konieczną w owym czasie. W wielu domach znajdowały się dzieci zostawiane w dniu 1 sierpnia w mieszkaniach same lub u dozorczy, czy sąsiadów. Wraz z przedłużającym się powstaniem dzieci te stawały się ciężarem swych tymczasowych opiekunów. Postanowiłyśmy zorganizować punkt dla tych dzieci. Jedną z naszych pań dysponowała mieszkaniem swoich krewnych, którzy byli na lotnisku. Mieściło się ono przy jednej z przecznic Marszałkowskiej /obecnie ul. Sadowej/. Osiedliłyśmy się w tym mieszkaniu. Osoby kierujące tą akcją nawiązały kontakt z działającymi już polskimi władzami społecznymi. Otrzymywałyśmy odzież dla dzieci, lekarstwa i przydziały żywności.

Dziewczęta nasze zostały rozoszczędzone po działnicy - między Placem Zbawiciela a Alejami Jeruzolimskimi z przygotowanymi ogłoszeniami, gdzie mieści się punkt dla zagubionych dzieci. Poczęto nam przyprawiać dzieci w różnym wieku, były one zabiedzone, brudne, zawszone, przerażone nieobecnością matek. Zajęcia się nimi dało nam dużo zadowolenia i pozwalało zapominać o ciągłych nalotach i dostrzale artyleryjskim. Dużą pomoc i ofiarność okazali mieszkańcy sąsiednich domów, znoszono materace, bieliznę dla naszych podopiecznych. Prócz opieki nad dziećmi część z nas zajęła się rozdaniem leków - szczególnie lekarstw zapobiegających biegunkom. Nasze koleżanki i dziewczęta porcjonowały te leki i wydawały potrzebującym. Powierzone nam również rozdawanie wyprawek niemowlęcych, bo i w tych niecodziennych warunkach rodziły się w naszej działnicy dzieci. Dużą trudnością sprawiło zdobywanie wody do posiłków i do mycia, ale trzeba było to wykonać. Wystawiliśmy w kolejkach z wiadrami i wanienkami przy odległych często studzienkach miejskich, posuwając się nieco pod ściany podczas nalotów czy dostrzału. Walka z brudem i zawszeniem trwała bez przerwy. Wszy przynosiły nowe dzieci. Mimo, że strzygliśmy im włosy, przetrwały odzież, efekty były skromne. Środków piorących, wydała początkowo brakować. Wkrótce mieszkanie zostało zniszczone przez pocisk artyleryjski, szyby wybite. W czasie trwania powstania przeprowadzaliśmy się kilkakrotnie z dziećmi na coraz niższe piętra. Wreszcie znalazliśmy się na parterze. Mieściliśmy się tu łaźnia. Wyścielaliśmy materacami wanny i zależnie od wieku dzieci układaliśmy na noc po jednym czy dwoje. Na koniec już tylko piwnice stanowiły jakieś schronienie. Przygotowaliśmy każdemu dziecku "porcję żelazną", cukier w kostkach i suchary. Umieściliśmy to w uszytych na poczekaniu woreczkach i zawieszaliśmy każdego przez ramię z uwagą, że póki otrzymują coś do jedzenia nie naruszą porcji. Nadszedł moment, że dysponowaliśmy już tylko nieśdzonym siarnem pszenicy, rozmoconym w słodkim roztworze miodu sztucznego.

Po raz drugi, dokładnie po pięciu latach, przeżywałem w Warszawie podobną sytuację. Nadszedł dzień, kiedy dalsze walki były już niemożliwe. Podpisano porozumienie o zaprzestaniu działań. Znowu zapanowała atmosfera zawodu, rozpacz, żalu nad obróconym w gruzy miastem i losami jego mieszkańców.



2/1/54

W dniu w którym to nastąpiło, kiedy zaplanowała niepokojąca ci -  
sna, znów rozeszliśmy dziewczęta z ogłoszeniami o naszym punk-  
cie. Poczęli się zjawiać krewni, rodzice. Ilość naszych dzieci  
zmalala. W wyznaczonym przez Niemców terminie z zaświadczeniem,  
że jesteśmy punktem RGO, opiekującym się dziećmi, przeszliśmy,  
prowadząc za ręce garstkę dzieci do miejsca, gdzie przygotowane  
były wozy zabierające opuszczających Warszawę. W pobliżu Polite-  
techniki załadowano nas na platformę sprzężoną w konie, ze stra-  
żą uzbrojonych Niemców na koźle. Jechaliśmy do obozu w Pruszkow-  
ie. Wzdłuż szosy co paręset metrów płonęły ogniska, przy nich  
straż niemiecka. Małe możliwości ucieczki. A jednak, kiedy prze-  
jeżdżaliśmy przez Piastów w umówionym miejscu przekupieni Niemcy  
satrzyneli konie, żeby pozwolić wysiąść matce z niemowlęciem  
w wózku i babką. Trzy z nas wyskoczyły, by pomóc wynieść wózek  
z dzieckiem. Na wóz już nie wróciliśmy. W ciemności i deszczu  
uskoczyliśmy do pobocza szosy z żywopłotem. Na wozie zostało  
kilka naszych psów i dzieci. Poprzednio liczba nas dorosłych była  
prawie równa ilości dzieci. Małe było prawdopodobieństwo, by nas  
wypuszczono z obozu.

wszystkie

#### X . Na punkcie zagubionych dzieci w Piastowie

W Piastowie znalazliśmy się na terenie ogrodu otaczającego dom  
rodziców jednej z instruktorek harcerskich, nauczycielki z Warsza-  
wy pp. Grodeckich. Przyjęto nas serdecznie. Po raz pierwszy po pa-  
ru miesiącach ujrzałyśmy na półmisku dymiące ziemniaki, a poda-  
no nam również pomidory. Córka pp. Grodeckich pobiegła do bram  
niezbyt już odległego obozu pruszkowskiego. Tam przy pomocy zna-  
jomych jej lekarzy i prawdopodobnie zaświadczenia RGO zespół nasz  
wypuszczono. Jeszcze tej nocy znalazły się w sąsiednim Komorowie,  
w domu rodziców również nauczycielki - harcerki. - Dzieci z pa-  
niami wkrótce pojechały do Krakowa, gdzie zostały umieszczone  
w domach dziecka. Następnego dnia przysłano mi pełną sumę pie-  
niędzy z poleceniem zorganizowania punktu dla zagubionych dzieci  
w Piastowie. Okazało się bowiem, że w tłumie ludności pędzonej  
dzień w dzień z Warszawy do Pruszkowa, dzieci gubiły się rodzi-  
com. Zbierałyśmy je. Oddane nam do dyspozycji duży pokój na pię-  
trze z żelazną kuchenką i paru anopami słomy, którą rozeszliśmy  
na podłogę. Piętrały się jednak trudności np. brak opału. Trzeba go było  
zdebywać zbierając odpady półfabrykatów z sąsied-  
niej fabryki.

2/1/55

Znow

Znow trzeba było prowadzić walkę z samodzieleniem. Kłopoty z otrzymaniem zmiany odzieży i bielizny dla dzieci. Co dzień trzeba było podnosić rozestaną na podłogę słonę, żeby dzieci mogły się poruszać po pokoju. Zrazu pomagała nam córka pp. Grodeckich, ale po kilku dniach i ona wyjechała. W tej sytuacji towarzysza moja Irena Z. wywalczyła u władz niemieckich pozwolenie na wyjazd do Warszawy. Do Piastowa ewakuowane z Warszawy szpitale i umieszczono je w pobliskiej hali fabrycznej. W porozumieniu z lekarzem polskim uzyskała przepustkę od lekarza niemieckiego kierującego ewakuacją. Samochodem jadącym do Warszawy ze wyposażeniem szpitalne zabrano i ja. Wróciła i przywiozła pewną ilość materacy, parę poduszek, trochę bielizny pościelowej ze szpitala. Z domu krewnych, gdzie była zameldowana przed powstaniem przywiozła odzież ich dzieci, przechowaną w piwnicy. Mogłyśmy teraz dzieci umyte, ostrzyżone przebrać w inne odzienie i położyć na materacach. Słonę na której dotąd spały, wraz z pasażerami spaliłyśmy, co jednocześnie dało trochę ciepła w tych zimnych, jesiennych dniach. Tak przy skromnych przydziałach żywności z RGO i dokupywanych produktów trwałyśmy do 20 grudnia 1944 roku. Otrzymałam bowiem polecenie przewiezienia dzieci do Krakowa. W zależności od wieku rozdzielone je do różnych domów dziecka rozmieszczonych w Krakowie i na obszarze województwa krakowskiego. Uzyskałam pozwolenie na wyjazd do rodziny do Nowego Sącza. Przydzielono mi grupę chłopców powyżej lat 14 i polecono odwiedzić do internatu przy szkole zawodowej w Nowym Sączu. Tu przebywałam do Nowego Roku 1945. Następnie znów przez Kraków wróciłam do Piastowa. Znalazło się jeszcze kilkoro dzieci nających matki, które po wyjściu z Warszawy zamieszkały gdzieś u znajomych, miały jednak trudności z utrzymaniem ich i wyżywieniem. Byłam już z nimi sama do 18 stycznia 1945 roku kiedy do Piastowa wjechały człony z uzbrojonymi żołnierzami wojska polskiego. Przybyli niespodziewanie nie od strony Warszawy, ale od południa. Punkt slikswidowałam. Matki zabrały swoje dzieci, rzeczy oddałam pod opiekę RGO. Od kierowniczki szkoły w Piastowie otrzymałam, jako powojenną wyprawę kołdrę i poduszkę. Zatrzymałam się przez pewien czas u rodziny na Grochowie. Stamtąd pojechałam do Józefowa, gdzie przed kilku miesiącami umieściłyśmy nasze dzieci z Konstancją. W domu tym przebywałam jako wychowawczyni do lip-

lipca 1945 roku, by w sierpniu wrócić na prawdziwe stanowisko do Grudziądza. W Inspektoracie przy ul. Stowackiego zgłosiłam się do pracy. Skierowane mnie do szkoły nr 3, gdzie kierowniczką była znów p. Ptasinska.

I zaczęła się praca pełna napięciem ze strony nauczycieli i młodzieży, która znów znalazła się w polskiej szkole.

Przebiegając we wspomnieniach czas wojny, przypominając ludzi, z którymi miałem los zetknięcia stwierdzam, że nauczycielstwo z terenów Pomorza, poznańskiego i Śląska, kiedy znalazło się w tzw. Generalnej Gubernii stanęło do pracy z całym napięciem, poświęceniem i odwagą. Wysiedleni, ścigani przez gestapo, pod fałszywymi nazwiskami, w bardzo trudnych warunkach materialnych, często po stracie najbliższych, nie tracili wiary w lepszą przyszłość. Spotykało się ich na rozmaitych placówkach :

- w szkolnictwie jawnym,
- w szkolnictwie tajnym,
- w ośrodkach opieki nad dziećmi i młodzieżą,
- jako instruktorki służby sanitarnej,
- jako instruktorów wyszkolenia bojowego w tajnych podchorążówkach na terenie Warszawy i okolicy,
- w redakcjach prasy i jej kolportażu,
- na kursach przygotowujących do pracy na ziemiach Warmii i Mazur .

Wspomnienia napisała

**Aniela Kewalska**

nauczycielka emerytowana II Liceum  
Ogólnokształcącego w Grudziądzu,  
w latach ostatnich nauczycielka  
Szkoły Podstawowej Nr 18 w Grudziądzu.

Grudziądz, dnia 15 września 1974 r.

Osiedle Dzierżyńskiego nr. 10/22

II. Materiały uzupełniające relację:

- Wyjście z Księgi "Harcerki 1939-1945" Inst. Hist. PAN, W-wa 1983 PWN, st. tytułowa i 56-59 oraz 192-197. Kserokopia, K.G, s. 1-6.
- Biogram Anieli Kowalskiej z fotografią. 4 egzemplarze. Kserokopia - K. 4, s. 7-10.
- Nekrolog Anieli Kowalskiej - oryginalny wycinek z "Nowości" z 15-17. lipca 1998r. K-1, s. 11.
- Kserokopia dwóch nekrologów Anieli Kowalskiej. K. 1, s. 12.



doessler  
Ami & Rowahkeij  
Pomora

# HARCERKI 1939-1945

Wydanie II poprawione i uzupełnione

Opracowanie zespołowe:

ZOFIA FLORCZAK, JADWIGA GRONOSTAJSKA,  
DANUTA JANUSZAJTIS-POLECIOWA, ZENOBIJA KITOWNA,  
KRYSTYNA KRYŃSKA-TEŁAKOWSKA, STANISŁAWA ŁASKI,  
IRENA LEPALCZYK, DANUTA MAGIERSKA, IRENA M. MILESKA,  
ZOFIA NAMITKIEWICZ, ANNA PIOTROWSKA,  
KRYSTYNA SROCZYŃSKA-WYCZAŃSKA, MARIA STRASZEWSKA  
ANNA SZCZEPANSKA-MANKOWSKA, ANNA SZOLC  
EMILIA WĘGLARZOWNA, JADWIGA WIERZBIANSKA  
ZOFIA ZAWADZKA

II wyd. pod redakcją KRYSTYNY WYCZAŃSKIEJ  
I wyd. pod redakcją MARII STRASZEWSKIEJ

Pw

WARSZAWA 1983

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

wieckim i razem z nimi wyruszyć na front... Wymarsz do brzo-  
wyposzonego zespołu uległ opóźnieniu na skutek nasilenia bom-  
bardowań w rejonie mostów. Niosłyśmy pomoc rannym. Na brze-  
gu praskim straż obywatelska skierowała zespół do wznoszenia  
barykad. Na terenie Domku Harcerskiego na Saskiej Kępie (ul.  
Saska 105) otrzymaliśmy wiadomość o pogarszającej się sytuacji  
na froncie i o wymarszu harcerzy z Mińska. Wobec ewentual-  
ności wkroczenia Niemców do Warszawy przyszło nam zająć się  
paleniem dokumentów<sup>21</sup>. Patrol postanowił zostać w Warszawie  
część włączyła się do pracy organizowanej przez Komendę Po-  
gotowia<sup>22</sup>.

Niezależnie od Chorągwi Warszawskiej działała w czasie obro-  
ny Warszawy Komenda Główna Pogotowia Harcerek po zgłosze-  
niu się 3 września komendantki do Komendy Miasta z gotowo-  
ścią organizowania służb pomocniczych. Do niej zgłaszały się har-  
cerki ewakuowane z chorągwi przygranicznych i dostawały przy-  
dział pracy. Przez radio zostało nadane wezwanie Komendy Pogo-  
towie (dokładna data zatarta się w pamięci) do kobiet spoza Orga-  
nizacji, aby zgłaszały się do pomocy. Zgłosiło się około 2000 kobiet  
— rejestrację prowadziła Hm. Rzpłitej Maria Wocalewska. Zor-  
ganizowano 12 szpitali pomocniczych podporządkowanych Szpita-  
łowi Ujazdowskiemu (szpital wojskowy) oraz 3 podporządkowane  
szpitalowi przy ul. Koszykowej. Akcją tą kierowała hm. Irena  
Lewandowska. Pierwszy szpital pomocniczy na 30 łóżek powstał  
7 września przy ul. Hożej. Największy tego typu szpital miał  
150 łóżek. Szpitale zorganizowano w lokalach barowych, szkol-  
nych lub dużych mieszkaniach prywatnych. Szpitale pomocnicze  
w liczbie 12 urządzono w rejonie, który rozciągał się między Po-  
wiśle a ul. Żelazną, sięgając do bliskiego Mokotowa. Mimo że  
okresowo była utrudniona łączność ze szpitalami pomocniczymi  
do końca akcji zaopatrywała je Komenda Pogotowia, korzystając  
z pomocy ze Szpitala Ujazdowskiego oraz Szpitala Dzieciątka  
Jezusa (ul. Nowogrodzka), do czasu zbombardowania go. Ponadto  
harcerka Aniela Kowańska dowoziła furmanką żywność do Szpi-

<sup>21</sup> M. Straszewska, Wykaz służby w latach 1939-1945, War. 82/491, 492

<sup>22</sup> Relacje o udziale harcerek w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r.,  
zob. War. 1-6, 8-11, 74, 78-80, 82, 83, 85, 88, 96, 110, 120, 138, 142, 143,  
152, 162, 203, 204, 206, 207, 209, 210; Ind. 47.

11/2  
tala Ujazdowskiego. Lokalizacja zmieniła się w zależności od sy-  
tuacji wojennej; musiano nieraz kilkakrotnie wynosić rannych,  
jak np. ze szpitala pomocniczego nr 7 przy ul. Siennej, co opisała  
jego kierowniczka Maria Kann w swej książce *Niebo nieznane*.  
Podobnie z trudem zorganizowały przez lekarkę, hm. Irenę Je-  
drzejewską, szpital na 85 łóżek w gmachu szkoły im. Wawelberga  
na Mokotowskiej, ze sprzętem ściągającym z domu akademickiego  
na pl. Narutowicza, z rozbitego wagonu sanitarnego na jednym  
z dworców i z innych miejsc, dosłownie pod kulami — musiał  
być przeniesiony na Nowogrodzką. Tam okazało się, że oprócz  
rannych ewakuowanych z Mokotowskiej, musiano przyjąć dodat-  
kowo 80 żołnierzy z rozbitego oddziału<sup>23</sup>. Dr H. Cetnarowicz,  
kierowniczka jednego z mniejszych szpitali pomocniczych, rela-  
cjonuje: „Byłam niepokieszona, że idealny według mnie na szpital,  
opuszczony przez mieszkańców domek nad Wisłą, zdyskwalifiko-  
wany instruktorki Komendy Pogotowia jako położony zbyt blisko  
torów kolejowych. Jakaż ogromną ulgą była mi potem wiadomość,  
że zaraz w pierwszym dniu padł ofiarą bombardowania ten właś-  
nie domek, lecz pusty! Ponieważ zgłosiło się na nasz apel radiowy  
wiele kobiet spoza Organizacji, podzielono je na grupy z instruk-  
torką harcerską na czele i skierowano do różnych prac, jakich  
potrzebowała wtedy Warszawa. Ja z moją piątką podkomendnych  
obiążywałyśmy piętra domów przy ulicy Wiejskiej, kolącąc do  
mieszkań z apelem o łóżka, pościel i sprzęt. Nasz szpitalik na  
ok. 30 łóżek zorganizowany w domu pod nr 14 i podporządkowany  
Szpitalowi Ujazdowskiemu szybko zapelniał się wszystkim, co trze-  
ba — nawet pochodowych kółder nie zabrakło”<sup>24</sup>.

Szpitale pomocnicze obsługiwały zarówno wojsko, jak i lud-  
ność cywilną. Rannych przenoszono bezpośrednio do szpitali (pa-  
troje Pogotowia Harcerek lub ludność), nie udało się utrzymać  
kierowania rannych przez centralę — Szpital Ujazdowski. Po-  
nadt udzielano doraźnej pomocy ambulatoryjnej.

W momencie największego nasilenia potrzeb liczba łóżek wy-  
nosiła 600, a liczbę osób, które korzystały z usług szpitali po-  
mocniczych, można ocenić w przybliżeniu na 2000. Liczba perso-

<sup>23</sup> M. Kann, *Niebo nieznane*, Warszawa 1975, s. 13-55 oraz relacja  
dr. J. Jędrzejewskiej zał. do Nacz. 12.

<sup>24</sup> H. Szpilfogel-Cetnarowicz, Mój wrzesień i okupacja, Ind. 18.

56 2 Anula Kowalska Harcerka 1939-1945

zadły jego wskazania: zdane na własne siły wykazywały samodzielną, trwałą w podejmowaniu decyzji, energię i upór w doprowadzeniu pracy do końca.

Działania wojenne na Pomorzu trwały bardzo krótko — w niektórych miejscowościach zaledwie kilka godzin. Harcerki podjęły jednak służbę, do której się przygotowały, wszędzie tam, gdzie było potrzebne i możliwe. Włączyły się do pracy w miejscowych szpitalach, organizowały życie w schronach przeciwlotniczych, harcerskie patrole sanitarne niosły pomoc uciekającym, obsługując pociągi ewakuacyjne, podając żywność w punktach dla uchodźców, kierując — nieraz z własnej inicjatywy — ruchem uciekinierów, pracowały często podczas bombardowania, opanowując własny lęk i panikę cywilnej ludności. Nieliczne zdążyły jeszcze służyć swoim przygotowaniem do obsługi stacji telefonicznych. Było dużo takich wypadków, że wojska niemieckie były już w mieście, a jeszcze dziewczęta w mundurach pełniły swoją służbę (Wejherowo, Gdynia, Bydgoszcz).

Pomorze przyjęło cały impet natarcia i doznało od razu okrucieństwa wroga. Natychmiast po zajęciu tych ziem zaczęł szaleć terror. Jak wiadomo z opublikowanych źródeł, ze 182 egzekucji masowych, których dopuścili się Niemcy w Polsce w 1939 r. — na Pomorze przypada 125<sup>6</sup>. Harcerki i harcerze oskarżani byli przez Niemców o wynaradawianie niemieckiego Pomorza. W szeregach harcerskich, szczególnie wśród kierowniczek pracy, powstały od razu ogromne luki: część została aresztowana, część wysiedlona, na roboty przymusowe wywieziono cały najinteligentniejszy i najruchliwszy element wsi i miast, a stanowiący go w dużej mierze harcerki<sup>7</sup>. Wiele harcerek wycofywało się ze swoich osiedli wraz z wojskiem lub uciekającą ludnością, by po jakimś czasie wrócić na swój teren, choć nie zawsze do swego domu, i rozpocząć konspiracyjną już służbę harcerską. Komenda Choragwi i wiele bardziej znanych instruktoerek musiało opuścić Pomorze. Komendantka Choragwi wraz z 8 swymi instruktorkami znalazła oparcie w Warszawie, gdzie wszystkie objęły pracę

<sup>6</sup> D. Steyer, *Eksterminacja ludności polskiej na Pomorzu Gdańskim w latach 1939 - 1945*, Gdynia 1967.

<sup>7</sup> Sprawozdanie Komendy Choragwi, Pom. 1/19.

w domach dziecka zorganizowanych przez Komendę Pogotowia<sup>8</sup>. Usiływały zostać na miejscu wszystkie hułcowskie, ale do końca wojny dotrwały tylko dwie: hm. Maria Burska w Bydgoszczy i hm. Maria Woźnicka we Włocławku.

Warunki konspiracyjnej pracy harcerskiej były na Pomorzu wyjątkowo ciężkie: terror, zagrożenie, zerwana łączność organizacyjna, brak Komendy Choragwi na miejscu, rozproszone grupy no instruktorskie, bardzo utrudniony, sporadyczny jedynie kontakt z Komendą Pogotowia w Warszawie, brak wreszcie aktywne-go środowiska inteligentnego (Pomorze nie miało przed wojną wyższej uczelni), a mimo to harcerstwo żyło, jako typowy „ruch”, bez organizacji. Brak jest więc na ogół danych liczbowych — można jedynie na podstawie sprawozdania Choragwi ukazać kierunki pracy.

1. Zorganizowana, normalna praca harcerska prowadzona była zastępnymi, a nie drużynami (informacje dotyczą Bydgoszczy, Starogardu, Włocławka, Kruszwicy, Chełmna), wiadomo o odbytych kursach sanitarnych w Bydgoszczy, Inowrocławiu, Gdyni (pracowała tam cała drużyna sanitarna),

2. Współpracowano z tajnymi organizacjami wojskowymi, jak Gry Pomorski, ZWZ-AK, Bataliony Chłopskie. Indywidualnie lub w niewielkich grupach harcerki pełniły tam różne funkcje w zakresie sanitariatu, łączności, aprowizacji, kwatermistrzostwa. O tej pracy są wzmianki w sprawozdaniach 11 hułców<sup>9</sup>, co nie oznacza, że jej nie było w pozostałych,

3. Niesiono pomoc: żołnierzom-jeńcom wojennym polskimi i obcymi, więźniom w więzieniach i lagrach, rodzinom uwiecznionych i poległych, wysiedlonym, sprawowano opiekę nad dziećmi, prowadzono tajne nauczanie — już od października 1939 r., rozprzewszchniano książki polskie,

<sup>8</sup> Pm. W. Biernacka, pfm. Z. Dudzik, druž. J. Kardasińska, druž. S. Kardasińska pracowały w Domu Dziecka w Skolimowie, hm. M. Ci-chowska, hm. Luśniak, pfm. M. Skrzyszowska — w Domu Chłopców na Żoliborzu, pfm. A. Kowalska w Domu Dziecka w Konstancinie, hm. 1. Rieff w Sekcji Opieki nad Dzieckiem RGO w Warszawie. Por. rozdz. Służby cywilne (Opieka nad dzieckiem).

<sup>9</sup> Hułec Brodnicki, Bydgoski, Chełmiński, Grudziądzki, Lipnowski, Morcki, Starogardzki, Toruński, Tucholski, Wejherowski, Włocławski, Pom. 3/26, 4/25, 5/36, 7/43, 10/54, 11/59, 14/71, 17/80, 18/89, 20/96, 21/120.

Harcerki w obronie Warszawy<sup>1</sup>

Całokształt harcerskiej pracy wychowawczej, opartej o swoisty system prób i ćwiczeń, i mobilizujący do stałej i wszechstronnej postawy „gotowości”, szczególnie w zakresie postawy służącej człowiekowi potrzebującemu pomocy, sprawił, iż wydarzenia, których widownią stała się Warszawa we wrześniu 1939 r. nie stały harcerem nieprzygotowanymi. Już wcześniej powołane do życia w łonie organizacji i nie tylko z myślą o wojnie tzw. Pogotowie Harcerzek tym razem zmobilizowało dziewczęta i instruktorki do służby w ciężkich dniach uderzenia wroga na Warszawę.

Naczelniczką Główną Kwatery była wówczas hm. Maria Krynicka, komendantką Pogotowia Harcerzek hm. Józefina Łapińska.

Pogotowie Główna Kwatery poza własną obsadą włączyło do akcji ok. 40 instruktorek w większości przybyłych spoza Warszawy (Pomorze, Poznań) oraz przeprowadziło rejestrację ochotniczek kobiet spoza organizacji. W ciągu pierwszych 3 dni zgłosiło się ponad 2000 osób. Od razu też przeprowadzono zbiórkę sprzętu gospodarczego, pościeli, bielizny, materiałów opatrunkowych i żywności. Napływ wszelkiego dobra był tak wielki, że trzeba było zorganizować służbę wartowniczą dla pilnowania stert wyposażenia nie mieszczącego się w lokalu Pogotowia. Później zaopatrywała Pogotowie Ubezpieczalnia Spółeczna i Pomoc Zimowa. Akcją reje-stracyjną kierowała hm. Maria Wocalewska.

Na czele Chorągwi Warszawskiej stanęła hm. Stanisława Łaski, przekazując sprawy pogotowia hm. Natalii Nekraszowej. Do akcji włączył się zarząd Okręgu Warszawskiego ZHP w osobach Adama Łada-Bieńkowskiego i Wiktorii Klimaszewskiej. Harcerki zgłosiły prezydentowi Stefanowi Starzyńskiemu gotowość do służby w obronie stolicy.

W okresie początkowym praca poszła w 3 kierunkach:

1. Służba telefoniczna — przy ul. Zielnej — na trzy zmiany, po 63 harcerki na każdą zmianę oraz w centrali międzymiastowej przy ul. Nowogrodzkiej, gdzie m. in. otrzymywano i przekazywano komunikaty o nalotach nieprzyjacielskich. Służba ta zakończona została 9 września, w dniu wywiezienia sprzętu przez wojsko.
2. Patrole sanitarno-żywnościowe: stały punkt na Dworcu Głównym, odwodniony szczęśliwie na 2 godziny przed zbombardowaniem dworca, przy przyczółku mostowym koło mostu Kierbedzia oraz 23 patrole na skrzyżowaniach głównych ulic Warszawy. Patrole obsługiwały żołnierzy gorącą kawą i posiłkiem oraz w miarę potrzeby robili opatrunki. Ponadto — dwadzieścia kilka lotnych punktów żywienia, podążających za oddziałami i zmieniających przydział w miarę zmiany sytuacji wojсковej oraz przeszło 50 lotnych patroli sanitarnych, mających za zadanie pełną netrację przydzielonych im ulic i udzielanie pierwszej pomocy. W miarę rozwoju działań wojennych zapotrzebowanie na te patrole było coraz większe, a służba

<sup>1</sup> Relacja opracowana przez Zofię Florczak na podstawie informacji Józefiny Łapińskiej, Stanisławy Łaski, Natalii Nekraszowej i Wiktorii Klimaszewskiej.

coraz bardziej niezbędna i odpowiedzialna. Patrole te opiekowały się również blakającymi się dziećmi. W pierwszych dniach września komendantki punktów i patroli utrzymywały łączność z komendą pogotowia, później, kiedy to stało się niemożliwe, działały na własną rękę, włączając do pomocy ludność cywilną najbliższego rejonu. Stałym zaopatrzywaniem patroli sanitarnych kierowała hm. Jadwiga Falkowska.

3. Opieka nad uchodźcami i nad dziećmi: kiedy do Warszawy zaczęły napływać rzesze uchodźców — opuszczonych, bezradnych i nie znających miasta — Pogotowie Harcerzek zajęło się nimi, otrzymując do swej dyspozycji lokal gimnazjum i liceum p. Tymińskiej przy ul. Traugutta. Poszczególne izby (klasy szkolne) zostały oddane pod opiekę zastępów harcerzek, które pełniły dyżury na zmianę po 3 godziny. Kierowniczką tego punktu była Halina Wilkówna, instruktorka chorągwi krakowskiej. Specjalną opieką otoczono dzieci zagubionych rodziców i pierwszych ofiar wojny. Zorganizowano w tym celu dwa dodatkowe punkty zbiorcze dla dzieci: na ul. Chłodnej i na Krakowskim Przedmieściu. Zebrano tam około 150 dzieci. Po kapitulacji przeprowadzono selekcję dzieci pod względem zdrowotnym oraz pospieszną akcją poszukiwania rodzin. Kierowała tymi punktami dr Makowiecka. Grupę 70 dzieci przewieziono później do Skolimowa, gdzie pod egidą PCK zorganizowano dla nich zakład opiekuńczy (kier. hm. Ewa Grodecka) a dla dzieci kalek zakład o zamiarach rehabilitacyjnych (kier. hm. Irena Lewandowska).

Ponadto harcerki zajęte były przy ustawianiu barykad, przy szyciu opasek i zbieraniu beretów dla ochotniczych oddziałów obrońców stolicy, przy uprzątnięciu ulic ze szkła i gruzów. Służbę swą pełniły w mundurach.

Gen. Czuma zlecił harcerkom zorganizowanie 2 szpitali polowych. Powstał wówczas szpital w gmachu Banku Handlowego przy ul. Traugutta pod kierunkiem Wiktorii Klimaszewskiej i Stanisławy Łaski i drugi, przy ul. Kopernika 11/13 z Natalią Nekraszową jako komendantką. Szpitale te były włączone do ogólnej liczby szpitali PCK, który dostarczał fachowej obsługi lekarskiej. Pielęgniarkami, sprzątaczkami były harcerki, one też prowadziły kuchnię i magazyn. Żołnierze otrzymywali dwudaniowy obiad, nocą wożono ugotowany posiłek na linię walk obrony Warszawy.

Niezależnie od tego Komenda Pogotowia z własnej inicjatywy zorganizowała 15 Wojskowych Szpitali Pomocniczych w rejonie między Al. Ujazdowskimi, Nowym Światem a Marszałkowską. Wielkość placówki zależna była od uzyskanego lokalu. Punkty te były podporządkowane Szpitalowi Ujazdowskiemu i szpitalowi na Koszykowej. W miarę wzmagającego się bombardowania szpitaliki trzeba było nieraz w dramatycznych okolicznościach przenosić do innych lokali. Szczególnie bohaterską kartę ma Szpital Pomocniczy przy ul. Siemnej, który dwukrotnie przenosił swoich rannych (ok. 200 żołnierzy i 80 osób cywilnych) z płonących budynków. Kierowniczką tego szpitala była Maria Kann. Akcją Pomocniczych Szpitali wojskowych kierowała hm. Irena Lewandowska. W krótkiej suchej relacji nie sposób zobrazować w pełni wszystkich wysiłków ani ukazać atmosfery tamtych niepowtarzalnych dni. Harcerki nie opuściły miasta i wypełniły swój obowiązek



zgodnie z duchem służby harcerckiej, na miarę swoich sił. Oto typowa sylwetka harcercka: Janka Kowalska, która w mundurze z plecakami i zrolowanym kocem dobiegła do Warszawy z Torunia. Nadawany przez radio komunikat Komendy Pogotowia Harcerek skierował ją pod właściwy adres. Tutaj od razu stanęła do pracy: kilka sal założonych pościelą, bielizną, naczyńiami — kilka wózków ręcznych przed domem — trzeba to wszystko rozwieźć powstającym szpitalom. Janka cała dzień liczy, pakuje, ładuje. Brak środków: lokomocji bardzo utrudnia pracę. Janka na jakimś podwórze wypatrzyła solidny wóz zaprzężony w konia. Zaczęła pertraktację z właścicielem, chłopem z wsi pomorskiej. Dał się przekonać, wypoczął na słowo, żeby mu tylko potem konia oddać i dobrze go żywić. Z tym wozem Janka była odciążona przez cały czas obłączenia Warszawy. Codziennie świtem ładowała na swoją furkę żywność i leki i zaczynała objazd trwający cały dzień. Najpierw zjawiała się przed szpitalem nr 1, potem przed szpitalem nr 2, potem nr 3 i tak kolejno aż do ostatniego. Obracała wielokrotnie, dopóki nie obsłużyła wszystkich. I zdarzało się, że następnego dnia nie znajdowała szpitala na miejscu: przeniesiony o kilka ulic dalej — oczekiwał na nią jak na zbawienie. Brakowało wszystkiego, wszystko zawodziło — Janka nie zawiodła. „Nie zapomnę — pisze komendantka szpitala nr 15 — gdy po dramatycznej nocy, w czasie której upadając ze zmęczenia przetransportowaliśmy z płonącego domu naszych 50 rannych — ranek zastał nas bez źdźbła żywności. Ugotowaliśmy kocioł wody i rozdaliśmy rannym wrzątek. ...A oto przed domem zatrzymuje się w szarej mgłę furka i z koźlą zeskakuje drobna figurka w długim, w znacznym za wielkim płaszczu żołnierskim. To Janka, wiedzioną instynktem, już zdążyła dojechać za naszymi śladami. Przywiozła żywność: kaszę, mleko w puszkach, chleb. Wydała się nam aniołem stróżem”. Inny fragment dziennika szpitalika nr 8: „Co dzień, niezmiennie, niemal o tym samym czasie zjawiała się drużna Janka. Jest coś zadziwiającego a równocześnie wzruszającego w tej niktnej, drobnej postaci. Teraz, gdy widzimy ludzi załamujących się ze strachu, ta dzielna dziewczyna gdzieś w środku ulicy bombardowanego miasta, wypełnia swój codzienny a jakże trudny obowiązek”. Przyszła kapitulacja. Pomocnicze punkty szpitalne szybko się likwidowały. Janka straciła 2 dni na poszukiwanie właściciela konia. Dom, w którym ulokował swą rodzinę, został zbombardowany, nikt nie umiał jej poinformować, gdzie ci ludzie znaleźli schronienie. Koń pozostał na usługach Szpitala Ujazdowskiego. A Janka — znalazła się na nowej placówce Pogotowia Harcerek, wśród dzieci, jako jedna z wychowawczyń, zawsze niezawodna. Ale to już jest historia okupacji.

Oryginał, maszynopis.

Relacja spisana w styczniu 1964 r. Instytut Historii PAN.

11  
Cypka Obaya  
Warszawa

Nr 11

Aleksander Iwanka — Relacja o Wydziale Finansowym Komisariatu Cywilnego przy Dowództwie Obrony Warszawy.

Okrędo powstania Komisariatu Cywilnego

W połowie 1939 r. prezydent m.st. Warszawy Stefan Starzyński zwrócił się do mnie, będącego wówczas naczelnikiem wydziału w Ministerstwie Skarbu, o przejście na stanowisko dyrektora finansowego Zarządu Miejskiego, opróżniane przez dr Stanisława Kurkora, przechodzącego odwrotnie z Magistratu do Min. Skarbu. Rozpoczął się w ten sposób trzeci etap w moim życiu współpracy ze Starzyńskim i pod jego kierownictwem; pierwszy był w latach 1927—1930, kiedy po skończeniu WSH zostałem przyjęty do Ministerstwa Skarbu, gdzie wówczas Starzyński był dyrektorem Departamentu Ogólnego, a później wiceministrem; drugi w latach 1931—1932, kiedy Starzyński, powróciwszy na stanowisko wiceministra skarbu, z którego przed niespełna dwu laty ustąpił w wyniku konfliktu z ministrem Matuszewskim, spowodował powrót mój do Min. Skarbu z GUS, w którym aktualnie pracowałem.

Stanowisko dyrektora finansowego Zarządu Miejskiego m.st. Warszawy objąłem 1 sierpnia 1939 r. Treść moich zadań i zajęć codziennych w owym sierpniu jakżeż daleka była od tych, które wiązały się ze słowem „wojna”, słowem wprawdzie bardzo często wówczas wymienianym w prasie, mowach i rozmowach, ale immunizowanym w jego grozie przez powszechną wiarę, że do wybuchu wojny nie dojdzie. Zapoznawałem się tedy w owym sierpniu 1939 roku i z aparatem miejskim, i z bieżącymi sprawami, i z jak najbardziej pokojowymi problemami na przyszłość.

Stan finansowy gminy m.st. Warszawy w r. 1939 nie był pomyślny. Miasto było zadłużone. Długi, wynoszące 288,5 mln zł, powstały wprawdzie głównie w okresach wcześniejszych, ale ciężyż nadal nad finansami miejskimi przeciętnym kosztem oprocentowania 5,5%, podczas gdy amortyzacja długów wynosiła niepełna 3% rocznie. Stan rynku kapitałowego w Polsce nie rokował szans na korzystne konwersje, jak również nie dawał dostatecznych nowych środków na inwestycje. Toteż uchwalony na niespełna 39 mln zł. budżet nadzwyczajny w wysokości 62 mln zł miał pokrycie na niespełna 39 mln zł. Na razie był on realizowany częściowo i zaliczkowo, a znalezienie uzupełniających źródeł pokrycia było własnie zadaniem nowego dyrektora finansowego.

Z tych powodów, jak również ze względu na przyjęte wówczas formy, sporo czasu w zajęciach sierpniowych zajmowały mi wizyty urzędowe, do czego Starzyński przywiązywał dużą wagę. Toteż codziennie w owe upalne dni sierpniowe przyjeżdżałem do biura w czarnym ubraniu i w sztywnym kolturzyku. Ja wizytowałem, mnie rewizytowano, rozmowy były mile i jakżeż dalekie od sprawy wojny.

Rozmowy ze Starzyńskim o finansach miejskich były na razie raczej dorywcze. Jako jedno z ważniejszych, najbliższych zadań finansowych wymienił mi znalezienie środków na sfinansowanie budowy nowej rzeźni na Żeraniu. „Bo, proszę pana, ta na Pradze już się rozsypuje”. Bieg wypadków spowodował jednak, że rzeźnia praska musiała „rozsypanywać się” jeszcze przez 20 lat.

Jedną z ważniejszych spraw była wówczas sprawa utworzenia spółki akcyjnej „Teatry Warszawskie”, której akcjonariuszami mieli być Zarząd Miejski i Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej, wspomóżone subwencją rządową. W ten sposób wyobrażano sobie wybrnięcie z wlokącego się kryzysowego problemu tea-

Uznanie dla wartości wychowawczych pracy gospodarczej znalazło odbicie w programach stopni i sprawności harcerskich. Aby osiągnąć np. stopień przewodniczki, należało zdobyć jedną z sprawności gospodarskich: szwaczki, praczki, kucharki lub piekarki. Stopień samarytanki wymagał umiejętności przygotowania własnym przemysłem ekwipunku, zapakowania na drogę i estetycznego podania posiłku na biwaku, rozpinania namiotu, wspólnego budowania przycz i sporządzania prostych, ale wygodnych i miłych dla oka sprzętów obozowych.

W stopniowym rozszerzaniu umiejętności chodziło nie tylko o wyrobienie człowieka sprawnego, umiającego sobie zawsze radzić, ale i o szacunek dla pracy fizycznej, o pogodne wykonywanie czynności potrzebnych, choć nie zawsze przyjemnych, jak np. budowanie piwnic i latryn na obozie, skrobanie ziemniaków i jarzyn dla całej drużyny, czyszczenie kotłów itp. Po obozie trzeba było przygotować sprzęt do przechowywania, oczyścić namioty i prostymi, tanimi środkami zabezpieczyć narzędzia przed rdzawą.

Wśród sprawności, jakie według wyboru mogły zdobywać dziewczęta (niezależnie od wymaganych przy zdobywaniu stopni harcerskich), istniała grupa sprawności takich jak: trykotarka, guzikarka, krawcowa, biuralistka i inne<sup>75</sup>.

Oczywiście umiejętności gospodarcze miały zwykle mniej estetyczny charakter niż inne, bardziej atrakcyjne dla młodych dziewcząt. Nie bez przyczyny powstawały wesołe piosenki o przypalonej kaszy w obozowym kotle. Młode drużynowe i kwaterymistki prowadziły książki rachunkowe i inwentarzowe, organizując w celu zdobycia funduszy na obóz pracę zarobkową drużyny i czyniąc nad transportem i konserwacją sprzętu, uczyły się posługiwania mieniem społecznego, oszczędności i odpowiedzialności i powierzony im majątek i wdrażały w to swoje dziewczęta.

Komendy poszczególnych chorągwi oraz Główna Kwatera organizowały różne kursy rzemieślnicze, kursy gospodarstwa domowego, administracji i rachunkowości, a także placówki gospodarcze: szwalnie specjalizujące się w szyciu namiotów, plac-

<sup>75</sup> Zob. przyp. 6 w rozdz. Organizacja Harcerzek przed 1939 r.

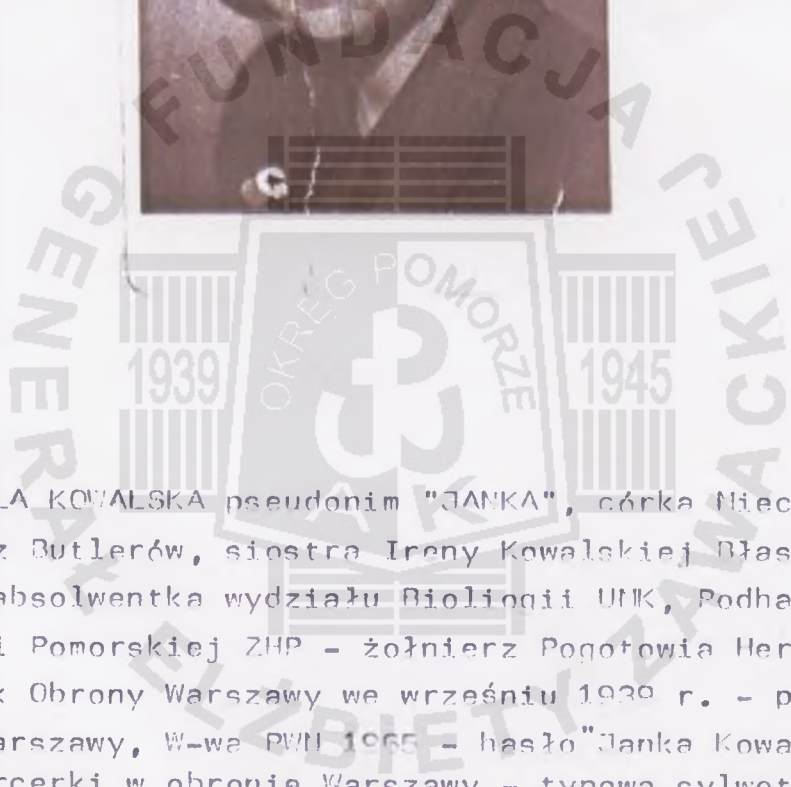
ków, spiworów itp., pracownie trykotarskie i sklepiuki z pełną obsadą harcerską. W miejscowościach o słabo rozwiniętym przemysle, gdzie trudno było o pracę, taka działalność miała walor dodatkowy. Kształcono też instruktorki specjalności w tym zakresie. Przy szkole instruktorskiej na Buczu istniała szkoła rolnicza dla dziewcząt, przygotowująca co roku kilkanaście kandydatek (przeważnie harcerzek) do pracy zawodowej i społecznej na wsi.

W ostatnim okresie przed wojną w ramach Pogotowia Harcerskiego przygotowanie do służby gospodarczej potraktowano na równi z przygotowaniem do służby sanitарnej i łączności, kładąc nacisk na wiadomości i umiejętności, które mogły być szczególnie potrzebne w warunkach wojny (przechowywanie żywności, zasady żywienia, konstruowanie i stosowanie dogotowywaczy itp.). Na obozach służby w lecie 1939 r. dzielono się zdobytym doświadczeniem z ludnością, prowadząc pogadanki i pokazy z zakresu gospodarstwa domowego.

Przydatność przygotowania gospodarczego sprawdziła wojna. W okresie kampanii wrześniowej harcerki kopały wraz z ludnością rowy przeciwlotnicze, wyszły także na ulice miast i miasteczek zorganizowane w patrole, które nie tylko udzielały pierwszej pomocy sanitарnej, ale wydawały kawę i chleb przechodzącym wojskom, gotowały posiłki w punktach i kantynach dworcowych, na placówkach dla wysiedleńców i w kuchniach szpitalnych; zmywały naczynia i szorowały kotły, sprzątały sale i korytarze szpitalne, prały bieliznę w szpitalnych pralniach, szyły fartuchy i prześcieradła, zajmowały się, gdy trzeba było i pod kulami, transportem żywności<sup>76</sup>. „Dostajemy skierowanie do służby pomocniczej na dworcach. Mnie przypada służba na Dworcu Głównym. Roznosimy przejeżdżającym transportom wojska kawę i bułki, pomagamy w kuchni zorganizowanej przy dworcu. Oj, ta cebula — skrajanie kilku kilogramów, i oczy całkiem zapuchnię-

<sup>76</sup> Por. relację o Jance Kowalskiej, której charakterystyczna sylwetka w załączniku do „Żywej Książki”, na furmance rozwieszającej żywność dla szpitali przez bombardowane ulice Warszawy zrosła się z wspomnieniami W. W. Ciepłoty „Ciepłota obrona Warszawy we wrześniu 1939 r.”, s. 194. Zob. też Mar. 1/6 o Halinie Pawłowskiej, War. 149 o Janinie Cieżarek, Kiel. 31/98, a także rozdz. Wrzesień 1939.

Janina Kowalska  
ps. „Janina”



Phm ANIELA KOWALSKA pseudonim "JANKA", córka Mieczysława i Henryki z Butlerów, siostra Ireny Kowalskiej Błasińskiej ps. "Rena", absolwentka wydziału Biologii UMK, Podharcemistrzyni Chorągwi Pomorskiej ZHP - żołnierz Pogotowia Harcerskiego AK, uczestnik Obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. - patrz Cywilna Obrona Warszawy, W-wa PWN 1965 - hasło "Janka Kowalska", rozdział harcerki w obronie Warszawy - typowa sylwetka harcerska.

M.Kann "Niebo nieznane" *„Harcerki 1939-1945” - PWN 1985 str. 56, 68, 197*

W czasie okupacji łączniczka pogotowia harcerskiego i Polskiej Organizacji Narodowo-Syndykalistycznej ; prześladowana przez Gestapo, pracowała w zakładzie dla dzieci zagubionych w Konstancinie, willa "Piaski" - ~~została zniszczona~~, prowadzonym przez harcerki, zorganizowanym przez RGO - Radę główną Opiekuńczą.



11/8



Phm ANIELA KOWALSKA pseudonim "JANKA", córka Mieczysława i Henryki z Butlerów, siostra Ireny Kowalskiej Błasińskiej ps. "Rena", absolwentka wydziału Biologii UMK, Podharcemistrzyni Chorągwi Pomorskiej ZHP - żołnierz Pogotowia Hercerskiego AK, uczestnik Obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. - patrz Cywilna Obrona Warszawy, W-wa PWN 1965 - hasło "Janka Kowalska", rozdział harcerki w obronie Warszawy - typowa sylwetka harcerska. M.Kann "Niebo nieznane"

W czasie okupacji łączniczka pogotowia harcerskiego i Polskiej Organizacji Narodowo-Syndykalistycznej ; prześladowana przez Gestapo, pracowała w zakładzie dla dzieci zagubionych w Konstancinie, willa "Piaski" - dom Państwa Grodeckich, prowadzonym przez harcerki, zorganizowanym przez RGO - Radę główną Opiekunów.

11/9



Phm ANIELA KOWALSKA pseudonim "JANKA", córka Mieczysława i Henryki z Butlerów, siostra Ireny Kowalskiej Błasińskiej ps. "Rena", absolwentka wydziału Biologii UMK, Podharcemistrzyni Chorągwi Pomorskiej ZHP - żołnierz Pogotowia Hercerskiego AK, uczestnik Obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. - patrz Cywilna Obrona Warszawy, W-wa PWN 1965 - hasło "Janka Kowalska", rozdział harcerki w obronie Warszawy - typowa sylwetka harcerska. M.Kann "Niebo nieznane"

W czasie okupacji łączniczka pogotowia harcerskiego i Polskiej Organizacji Narodowo-Syndykalistycznej ; prześladowana przez Gestapo, pracowała w zakładzie dla dzieci zagubionych w Konstancinie, willa "Piaski" - dom Państwa Grodeckich, prowadzonym przez harcerki, zorganizowanym przez RGO - Radę główną Opiekuńczą.

11/10



Phm ANIELA KOWALSKA pseudonim "JANKA", córka Mieczysława i Henryki z Butlerów, siostra Ireny Kowalskiej Błasińskiej ps. "Rena", absolwentka wydziału Biologii UMK, Podharcemistrzyni Chorągwi Pomorskiej ZHP - żołnierz Pogotowia Hercerskiego AK, uczestnik Obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. - patrz Cywilna Obrona Warszawy, W-wa PWN 1965 - hasło "Janka Kowalska", rozdział harcerki w obronie Warszawy - typowa sylwetka harcerska. M.Kann "Niebo nieznane"

W czasie okupacji łączniczka pogotowia harcerskiego i Polskiej Organizacji Narodowo-Syndykalistycznej ; prześladowana przez Gestapo, pracowała w zakładzie dla dzieci zagubionych w Konstancinie, willa "Piaski" - dom Państwa Grodeckich, prowadzonym przez harcerki, zorganizowanym przez RGO - Radę główną Opiekuńczą.

11/11

Nowości 15-17 lipca 1998

†

Dnia 14 lipca 1998 r. zmarła Nasza Najukochańsza  
Ciocia, Siostra

**śp. Aniela Kowalska**

Harcistrz Rzeczypospolitej,  
Żołnierz Armii Krajowej pseudonim Janka,  
Łączniczka Pogotowia Harcerskiego – Obrona  
Warszawy, Powstaniec Warszawski.  
Wychowawca młodzieży,  
długoletni nauczyciel II LO im. Króla Jana III  
Sobieskiego w Grudziądzu. Odznaczona  
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia  
Polski, medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się dnia 18 lipca 1998 r. o godz. 12.15 Mszą świętą w kościele Św. Krzyża przy ul. Bydgoskiej w Grudziądzu. Ceremonia pogrzebowa o godz. 13.00 na cmentarzu przy ul. Cmentarnej.

Pogrążona w bólu  
SIOSTRZENICA, SIOSTRA z RODZINĄ

1652/03



11/12

Pracownik... KONSULTACJE z... 1998

Dnia 14 lipca 1998 r. zmarła Nasza Najukochańsza Ciocia, Siostra



# śp. Aniela Kowalska

Harcistrz Rzeczypospolitej,  
Żołnierz Armii Krajowej pseudonim Janka,  
Łączniczka Pogotowia Harcerskiego – Obrona  
Warszawy, Powstaniec Warszawski.

Wychowawca młodzieży,  
długoletni nauczyciel II LO im. Króla Jana III  
Sobieskiego w Grudziądzu. Odznaczona  
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia  
Polski, medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczyna się dnia 18 lipca 1998 r. o godz. 12.15 Masą świętą w kościele Św. Krzyża przy ul. Bydgoskiej w Grudziądzu. Ceremonia pogrzebowa o godz. 13.00 na cmentarzu przy ul. Cmentarnej.

Pogrążona w bólu  
SIOSTRZENICA, SIOSTRA z RODZINĄ

1181003

Ka pociłowa  
4-06-57, se-  
pl

Redakcje i biura ogłoszeń w: GRUDZIĄDZU, ul. Wybickiego 3f  
tel./fax (0-51) 46-59-265, 46-59-264, red. Aleksandra Walczak, CIECHO  
CINKII ul. Polna e 1

ENERGA

Dnia 14 lipca 1998 r. zmarła długoletnia zasłużona nauczycielka II Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Jana III Sobieskiego w Grudziądzu śp.

## ANIELA KOWALSKA

Cześć Jej pamięci!

Rodzinie Zmarłej serdeczne wyrazy współczucia składają:

dyrekcja, nauczyciele, pracownicy  
oraz młodzież II Liceum Ogólnokształcącego  
im. Króla Jana III Sobieskiego w Grudziądzu

N22267

III/3. Materiały dot. ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

- Cyfrowa obrona Warszawy we wrześniu 1939 r. Dokumenty, materiały prasowe, wspomnienia i relacje. Warszawa 1965 PWN. - Fragmenty. bibliopagimacji. Par. nr. 10 i 11. Kserokopia, k. 3, s. 1-3.
- Fragment książki Marii Kann "Niebo niezamane", karta tytułowa z odroczoną dedykacją i dopiskiem wyjaśniającym, str. 28-31. Kserokopia. k. 5, s. 4-8.



III/31A

CYWILNA  
OBRONA WARSZAWY  
WE WRZEŚNIU 1939 r.

*Dokumenty, materiały prasowe,  
wspomnienia i relacje*

Pa



WARSZAWA 1965  
PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Całokształt harcerskiej pracy wychowawczej, opartej o swoisty system prób i ćwiczeń, i mobilizujący do stałej i wszechstronnej postawy „gotowości”, szczególnie w zakresie postawy służącej człowiekowi potrzebującemu pomocy, sprawił, iż wydarzenia, których widownią stała się Warszawa we wrześniu 1939 r. nie stały harcerem nieprzygotowanym. Już wcześniej powołane do życia w łonie organizacji i nie tylko z myślą o wojnie tzw. Pogotowie Harcerek tym razem zmobilizowało dziesięć i instruktorów do służby w ciężkich dniach uderzenia wroga na Warszawę.

Naczelniczką Główną Kwatery była wówczas hm. Maria Krynicka, komendantką Pogotowia Harcerek hm. Józefina Łapińska.

Pogotowie Główną Kwaterę poza własną obsadą włączyło do akcji ok. 40 instruktorów w większości przybyłych spoza Warszawy (Pomorze, Poznań) oraz przeprowadziło rejestrację ochotniczek kobiet spoza organizacji. W ciągu pierwszych 3 dni zgłosiło się ponad 2000 osób. Od razu też przeprowadzono zbiórkę sprzętu gospodarczego, pościeli, bielizny, materiałów opatrunkowych i żywności. Napływ wszelkiego dobra był tak wielki, że trzeba było zorganizować służbę wartowniczą dla pilnowania stert wyposażenia nie mieszczącego się w lokalu Pogotowia. Później zaopatrywała Pogotowie Ubezpieczalnia Społeczna i Pomoc Zimowa. Akcją rejestracyjną kierowała hm. Maria Wocalewska.

Na czele Chorągwi Warszawskiej stanęła hm. Stanisława Laski, przekazując sprawy pogotowia hm. Natalii Nekraszowej. Do akcji włączył się zarząd Okręgu Warszawskiego ZHP w osobach Adama Łada-Bienkowskiego i Wiktorii Klimaszewskiej. Harcerki zgłosiły prezydentowi Stefanowi Starzyńskiemu gotowość do służby w obronie stolicy.

W okresie początkowym praca poszła w 3 kierunkach:

1. Służba telefoniczna — przy ul. Zielnej — na trzy zmiany, po 63 harcerki na każdą zmianę oraz w centrali międzymiastowej przy ul. Nowogrodzkiej, gdzie m. in. otrzymywano i przekazywano komunikaty o nalotach nieprzyjacielskich. Służba ta zakończona została 9 września, w dniu wywiezienia sprzętu przez wojsko.
2. Patrole sanitarno-żywnościowe: stały punkt na Dworcu Głównym, odwołany szczęśliwie na 2 godziny przed zbombardowaniem dworca, przy przyczółku mostowym koło mostu Kierbedzia oraz 23 patrole na skrzyżowaniach głównych ulic Warszawy. Patrole obsługiwały żołnierzy gorącą kawą i posiłkiem oraz w miarę potrzeby robiły oparunki. Ponadto — dwadzieścia kilka lotnych punktów żywienia, podających za oddziałami i zmieniających przydział w miarę zmiany sytuacji wojskowej oraz przeszło 50 lotnych patroli sanitarnych, mających za zadanie pełnić przydzielonych im ulic i udzielanie pierwszej pomocy. W miarę rozwoju działań wojennych zapotrzebowanie na te patrole było coraz większe, a służba

<sup>1</sup> Relacja opracowana przez Zofię Florczak na podstawie informacji Józefiny Łapińskiej, Sta-

coraz bardziej niebezpieczna i odpowiedzialna. Patrole te opiekowały również blakającymi się dziećmi. W pierwszych dniach września kolumny punktów i patroli utrzymywały łączność z komendą pogotowia, później, kiedy stało się niemożliwe, działały na własną rękę, włączając do pomocy ludność najbliższego rejonu. Stałym zaopatrywaniem patroli sanitarnych kierował Jadwiga Falkowska.

3. Opieka nad uchodźcami i nad dziećmi: kiedy do Warszawy zaczęły ważyć rzesze uchodźców — opuszczonych, bezradnych i nie znających miasta gotowie Harcerek zajęło się nimi, otrzymując do swej dyspozycji lokal gimnazjum i liceum p. Tymińskiej przy ul. Traugutta. Poszczególne izby (klasy) zostały oddane pod opiekę zastępów harcerek, które pełniły dyżury na zmianę po 3 godziny. Kierowniczką tego punktu była Halina Wilkówna, instruktorką krakowskiej. Specjalną opieką otoczono dzieci zagubionych rodziców i pierwszych ofiar wojny. Zorganizowano w tym celu dwa dodatkowe punkty zbiorcze dla dzieci: na ul. Chłodnej i na Krakowskim Przedmieściu. Zebrano około 150 dzieci. Po kapitulacji przeprowadzono selekcję dzieci pod względem zdrowotnym oraz pospieszną akcją poszukiwania rodzin. Kierowała tymi punktami dr Makowiecka. Grupę 70 dzieci przewieziono później do Skolimowa, pod egidą PCK zorganizowano dla nich zakład opiekuńczy (kier. hm. Ewa Lewandowska).

Ponadto harcerki zajęte były przy ustawianiu barykad, przy szyciu i zbieraniu beretów dla ochotniczych oddziałów obrońców stolicy, przy udrażnianiu ulic ze szkła i gruzów. Służbę swą pełniły w mundurach.

Gen. Czuma zlecił harcerkom zorganizowanie 2 szpitali polowych. Później szpital w gmachu Banku Handlowego przy ul. Traugutta pod kierunkiem Wiktorii Klimaszewskiej i Stanisławy Laski i drugi, przy ul. Kopernika z Natalią Nekraszową jako komendantką. Szpitale te były włączone do ośrodków szpitali PCK, który dostarczał fachowej obsługi lekarskiej. Pielęgniarki i sprzątaczkami były harcerki, one też prowadziły kuchnię i magazyn. Żołnierzy utrzymywali dwudaniowy obiad, nocą wożono ugotowany posiłek na linię obrony Warszawy.

Niezależnie od tego Komenda Pogotowia z własnej inicjatywy zorganizowała 15 Wojskowych Szpitali Pomocniczych w rejonie między Al. Ujazdowskim a Światłem a Marszałkowską. Wielkość placówki zależna była od uzyskanego lokalu. Punkty te były podporządkowane Szpitalowi Ujazdowskiemu i szpitalowi na Koszykowej. W miarę wzmagającego się bombardowania szpitaliki trzeb nierz w dramatycznych okolicznościach przenosić do innych lokali. Szczególnie bohaterską kartę ma Szpital Pomocniczy przy ul. Siennej, który dwukrotnie nosił swoich rannych (ok. 200 żołnierzy i 80 osób cywilnych) z płonącego dworku. Kierowniczką tego szpitala była Maria Kann. Akcją Pomocniczych Szpitali wojskowych kierowała hm. Irena Lewandowska. W krótkiej suchej relacji sposób zobrazować w pełni wszystkich wysiłków ani ukazać atmosfery tamto- wienowatrzalnych dni. Harcerki nie omiły miasta i wvnehtny swój ob-

zgodnie z duchem służby harcerskiej, na miarę swoich sił. Oto typowa sylwetka harcerska: Janka Kowalska, która w mundurze z plecakiem i zrolowanym kocem dobrnęła do Warszawy z Torunia. Nadawany przez radio komunikat Komendy Pogotowia Harcerek skierował ją pod właściwy adres. Tutaj od razu stanęła do pracy: kilka sal założonych pościelą, bielizną, naczyniami — kilka wózków ręcznych przed domem — trzeba to wszystko rozwieźć powstającym szpitalom. Janka cały dzień liczy, pakuje, ładuje. Brak środków lokomocji bardzo utrudnia pracę. Janka na jakimś podwórzu wypatrzyła solidny wóz zaprzężony w konia. Zaczęła pertraktacje z właścicielem, chłopem z wsi pomorskiej. Dał się przekonać, wypoczął na słowo, żeby mu tylko potem konia oddać i dobrze go żywić. Z tym wozem Janka była odtąd związana przez cały czas oblężenia Warszawy. Codziennie świtem ładowała na swoją furkę żywność i leki i zaczęła objazd trwający cały dzień. Najpierw zjawiała się przed szpitalem nr 1, potem przed szpitalem nr 2, potem nr 3 i tak kolejno aż do ostatniego. Obracała wielokrotnie, dopóki nie obsłużyła wszystkich. I zdarzało się, że następnego dnia nie znajdowała szpitala na miejscu: przeniesiony o kilka ulic dalej — oczekiwał na nią jak na zbawienie. Brakowało wszystkiego, wszystko zawodziło — Janka nie zawiodła. „Nie zapomnę — pisze komendantka szpitala nr 15 — gdy po dramatycznej nocy, w czasie której upadając ze zmęczenia przetransportowaliśmy z płonącego domu naszych 50 rannych — raneek zastał nas bez źdźbła żywności. Ugotowaliśmy kocioł wody i rozdałyśmy rannym wrzątek. ...A oto przed domem zatrzymuje się w szarej mgłę furka i z koźla zeskakuje drobna figurka w długim, w znacznie za wielkim płaszczu żołnierskim. To Janka, wiedziona instynktem, już zdążyła dojechać za naszymi śladami. Przywiozła żywność: kaszę, mleko w puszkach, chleb. Wydała się nam aniołem stróżem”. Inny fragment dziennika szpitalika nr 8: „Co dzień, niezmiennie, niemal o tym samym czasie zjawiała się druha Janka. Jest coś zadziwiającego a równocześnie wzruszającego w tej nikłej, drobnej postaci. Teraz, gdy widzimy ludzi załamujących się ze strachu, ta dzielna dziewczyna je-dzie środkiem ulicy bombardowanego miasta, wypełnia swój codzienny a jakże trudny obowiązek”. Przeszła kapitulacja. Pomocnicze punkty szpitalne szybko się likwidowały. Janka straciła 2 dni na poszukiwanie właściciela konia. Dom, w którym ulokował swą rodzinę, został zbombardowany, nikt nie umiał jej poinformować, gdzie ci ludzie znaleźli schronienie. Koń pozostał na usługach Szpitala Ujazdowskiego. A Janka — znalazła się na nowej placówce Pogotowia Harcerek, wśród dzieci, jako jedna z wychowawczyń, zawsze niezawodna. Ale to już jest historia okupacji.

Original, maszynopis.

Relacja spisana w styczniu 1964 r. Instytut Historii PAN.

Nr 11

Aleksander Iwanka — Relacja o Wydziale Finansowym Komisariatu Cywilnego przy Dowództwie Obrony Warszawy.

Okres do powstania Komisariatu Cywilnego

W połowie 1939 r. prezydent m.st. Warszawy Stefan Starzyński zwrócił do mnie, będącego wówczas naczelnikiem wydziału w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, o przejście na stanowisko dyrektora finansowego Zarządu Miejskiego, oprócz tego dr Stanisław Kirkora, przechodzącego odwrotnie z Magistratu do Starzyńskiego i pod jego kierownictwem; pierwszy był w latach 1927—1930, po skończeniu WSH zostałem przyjęty do Ministerstwa Skarbu, gdzie wó-wczas Starzyński był dyrektorem Departamentu Ogólnego, a później wiceministrem; drugi w latach 1931—1932, kiedy Starzyński, powróciwszy na stanowisko ministra skarbu, z którego przed niespełną dwu laty ustąpił w wyniku konfliktu z ministrem Matuszewskim, spowodował powrót mój do Min. Skarbu z którym aktualnie pracowałem.

Stanowisko dyrektora finansowego Zarządu Miejskiego m.st. Warszawy objąłem 1 sierpnia 1939 r. Treść moich zadań i zajęć codziennych w owym czasie jakżeż daleka była od tych, które wiążą się ze słowem „wojna”, słowem wprawdzie bardzo często wówczas wymienianym w prasie, mowach i rozmowach, ale i nieznanym w jego grozie przez powszechną wiarę, że do wybuchu wojny dojdzie. Zapoznawalem się tedy w owym sierpniu 1939 roku i z aparatem ministerialnym i z biurowymi sprawami, i z jak najbardziej pokojowymi problemami na przykład z Stan. finansowy gminy m.st. Warszawy w r. 1939 nie był pomyślny. Było zadłużone. Długi, wynoszące 288,5 mln zł, powstały wprawdzie głównie w okresach wcześniejszych, ale ciążyły nadal nad finansami miejskimi przede wszystkim kosztem oprocentowania 5,5%, podczas gdy amortyzacja długów wynosiła 3% rocznie. Stan rynku kapitałowego w Polsce nie rokował szans i zrytne konwersje, jak również nie dawał dostatecznych nowych środków w postaci. Toteż uchwalony na 1939/40 r. budżet nadzwyczajny w wysokości 62 mln zł miał pokrycie na niespełna 39 mln zł. Na razie był on realizowany częściowo i zaliczkowo, a znalezienie uzupełniających źródeł pokrycia było w tym czasie zadaniem nowego dyrektora finansowego.

Z tych powodów, jak również ze względu na przyjęte wówczas formy, czasu w zajęciach sierpniowych zajmowały mi wizyty urzędowe, do czego oczywiście przywiązywałem dużą wagę. Toteż codziennie w owe upalne dni sierpnia przyjeżdżałem do biura w czarnym ubraniu i w sztywnym kołnierzyku. Ja w tym czasie, mniej rewizytowano, rozmowy były miłe i jakżeż dalekie od sprawy budżetowej. Rozmowy ze Starzyńskim o finansach miejskich były na razie raczej doradcze. Jako jedno z ważniejszych, najbliższych zadań finansowych wymieniłem z niego, że na Pradze już się rozsypuje”. Bieg wypadków spowodował jednakże rezerwa praska musiała „rozsypanywać się” jeszcze przez 20 lat.

Jedną z ważniejszych spraw była wówczas sprawa utworzenia spółki akcyjnej „Teatru Warszawskiego”, której akcjonariuszami mieli być Zarząd Miejski i Zarząd Krzewienia Kultury Teatralnej, wspomóżone subwencją rządową. W tym czasie wyobrażano sobie wybrnięcie z wlokącego się kryzysowego problem

III/3/4

do kancelarii A Kowalskiej  
zgodnie do

Maria Kann

niebo **nieznane**

dużo na parujących  
tędych dni Wika

Schulich - Oliva, 1.12.64

Wielki B. Białostki

proszę o Ameli Kowalskiej  
zgodnie do faktury dwómakowej  
Która walczy o bycie Pomoc



III/3/5

Polski. Mieszkali w jednym pokoju, wszyscy razem, mężczyźni, kobiety i dzieci.

Pewnego wieczoru, kiedy matki układały dzieci do snu, ojcowie wyszli na korytarz zapalić papierosa, pogadać. I wtedy stało się to najgorsze. Dom zadygotał. Wydawało się, że runie.

Pocisk wpadł do pokoju wysiedleńców, masakrując dzieci i kobiety. Chwila ciszy, a potem rozległ się nieludzki krzyk rozpacz i zgrozy. Mężczyźni w cuchnącej dymem ciemności szukali swoich najbliższych i trafiali rękami na strzępy ciał, lepkie od krwi. Chwyтали je, nieśli, krzyk rósł, potężniał, zbliżał się do nas:

— Doktora, doktora! Doktora!

Ogromny mężczyzna dźwigał przed sobą dwa bezwładne ciała, z jego gardła wydobywał się już nie krzyk, ale jakieś przejmujące wycie.

— Pomocy, bo zabiję, pomocy, bo zabiiiiję!

Był to jeden z uciekinierów poznańskich, sędzia, któremu pocisk rozszarpał dwie córeczki, ranił matkę, a żonę przygwoździł do drzwi.

Pan Zommer zasłonił sobą wejście do szpitala.

— Po kolei! — wołał. Ludzie, po kolei! Wszystkim będzie udzielona pomoc. Ale stójcie! Stójcie! Na Boga! Tratujecie rannych! Stójcie!

Przybiegła pani doktor Goldman. Żołnierze i siostrzyczki darli prześcieradła na opatrunki. Siekierami rozszczyli meble na łupki.

Na podłodze przed nami siedziały dwie dziewczynki, córeczki sędziego. Ojciec podtrzymywał je troskliwie. Nie czuły już nic. Jedna miała zmiążdżone rączki i nóżki i zapewne naruszone wnętrzności, druga, prześliczna, mrużyła wielkie szare oczy. Jasne włosy były zlepione mózgiem i krwią.

Ojciec nie odrywał oczu od pani doktor, śledząc każdy jej ruch. Ludził się, że od jej zabiegów zależy życie dzieci, pilnował, czy nie zaniedba czegoś ważnego. Z pomocą Zdzisława składała zmiążdżone rączki i nóżki. Marysia bandażowała główkę. Ale najpierw to, co najważniejsze, jedyne, co miało sens: morfina. A za drzwiami tłoczyli się ludzie, nieprzytomni z rozpacz. Groźny pomruk narastał:

— Otwierać! Co tak długo! Umieramy! Lekarza!

III | 3 | 6

Głos pana Zommera górował nad tymi głosami, uciszał, uspokajał.

— Po kolei! Wszyscy otrzymają pomoc! Spokojnie! Nie przeszkadzajcie, spokojnie!

Jemu zawdzięczamy, że nie wylamano drzwi, nie pozabijano nas wszystkich.

Członkowie Straży Obywatelskiej skupili się przy swoim dowódcy. Wynosili tych, którzy już otrzymali opatrunek, kładli przed nami następnych rannych. Tylko morfina mogła im pomóc, nic więcej. Po opatrunku przenoszono ich z powrotem do tamtej strasznej sali, gdzie na drzwiach wisiały jeszcze strzepy rozdartej pociskiem żony sędziego.

Odtąd co dzień, a nieraz i w nocy, Zdzisław i Marysia chodzili tam, witani czasem błogosławieństwem, czasem gorzkimi wyrzutami. Płakali, opatrując nieszczęśników, wśród których było tyle dzieci, płakali w poczuciu własnej bezsilności, która jakże często bywała naszym udziałem.

Dwa ostatnie dni obrony Warszawy to nieustanne wybie pikujących samolotów i wybuchy, łączące się w jeden przerażający huk. Warszawa waliła się w gruzy. Myślę, że to, co my, czuliby wszyscy ludzie, gdyby nadszedł kres naszej planety.

Dni, w których każdy ułamek sekundy mógł być ostatni, wlokły się w nieskończoność. Nie czuliśmy już lęku, może nawet pragnęliśmy, aby koniec nadszedł jak najprędzej. Zdrowsi żołnierze siedzieli na wewnętrznych schodach, ciężko ranni leżeli ciasno, jeden przy drugim w dawnej szatni i pod schodami. Nasza dentystka z kilkoma siostrami była w filii; pozostała część personelu krążyła pomiędzy rannymi. Nie wzywaliśmy naszej pani doktor, która mieszkała tuż obok, bo przejście przez ulicę pod ulewą pocisków zdawało się być niepodobieństwem.

A jednak przed szpitalem zatrzymał się wózek zaprzężony w bułanka. Weszła jasnowłosa drużna Aniela Kowalska trzymając miednicę pełną jaj.

— Ojej, jak ja się bałam — powiedziała w progu — myślałam, że odłamki wszystkie jaja potłuką!

Aniela Kowalska już od kilku dni przywoziła nam żywność z Ujazdowa. Zajęła miejsce drухenki, która w pewnym momencie oświadczyła swoim władzom szpitalnym, że dłużej nerwowo nie wytrzyma jazdy po mieście na wózku. Trudno się jej dziwić. Jazda autem dawała chociaż



III/3/7

złudzenie, że się zdąży umknąć śmierci, a pocziwy bułanek człapał flegmatycznie noga za nogą. Może to był jakiś wojskowy emeryt, przywykły do pocisków, a może po prostu ogłuchł na starość i nic nie słyszał na swoje szczęście, a na utrapienie młodziutkiego woźnicy. I do końca prawdopodobnie bylibyśmy skazani na głódówkę, gdyby nie zjawiła się w Ujazdowie Aniela Kowalska, harcerka, nauczycielka z Poznańskiego.

— Słyszałam, że nie macie nikogo do rozwożenia żywności — spytała.

Odtąd wózek znów zatrzymywał się na Siennej przed szpitalikiem. Aniela wchodziła uśmiechnięta, pytała, co słychać, czego nam potrzeba, i odjeżdżała, pozostawiając skąpe racje żywnościowe; a wszyscy w szpitalu uśmiechali się jeszcze przez pewien czas.

Po skończonych walkach dowództwo obrony Warszawy przyznało nam odznaczenia. Anieli na liście nie było. Upomnieliśmy się o nią. Okazało się, że nie miała żadnego oficjalnego przydziału, nigdzie w spisach nie figurowała, i nie wiadomo było ponadto, gdzie jej szukać, bo odeszła cichutko, kiedy już nie była potrzebna.

Wieczorem 26 września przywieziono żołnierzy. Ostatni transport z frontu.

Kapral Wojciechowski patrzył na nas szeroko otwartymi, nie widzącymi oczyma. Majaczył głośno, wywołując poległych kolegów. Pani doktor badała go, potem uniosła się z kolan.

— Kula w kręgosłupie. To już koniec.

Strzały nagle umilkły. Ułożyliśmy kaprała w narożnym pokoiku, tak fatalnie położonym, że dotychczas tam nie można było wejść.

— Nie odchodźcie ode mnie — prosił żałośnie. — Zostańcie przy mnie.

Noc zapadała. Było przerażająco cicho. Żołnierze spali. Usiadłam przy kapralu, wzięłam go za rękę. Uspokoił się. Myślałam, że usnął.

Cisza szumiała w uszach, nawykłych do huków, budziła grozę większą niż gwizd spadających bomb, niż lot pocisku.

III/3/8

— Czemu nie strzelają? Czemu milczą? Co się dzieje?  
Wiatr uderzał w okno, unosząc w górę czarną zasłonę,  
jak żałobny sztandar. Do pokoju zaglądało granatowe niebo  
i spokojne gwiazdy. Żołnierz leżał cicho, potem zaczął  
majaczyć. Wśród ciszy wyraźnie padały nazwiska, a po  
każdym nazwisku to samo słowo:

— Zabity!

Kapral Wojciechowski wywoływał żołnierzy swojego  
plutonu. Słuchałam tej przerażającej litanii, tego apelu  
umarłych. Aż skończył na sobie:

— Kapral Wojciechowski!

— Zabity!

Nikogo nie było. Nikt nie widział kierowniczkę, która  
musiała przy ludziach zachować spokój. Żołnierz nie sły-  
szał już nic, a gdyby nawet w pokoju było widno, nic by  
już nie zobaczyły jego szeroko otwarte oczy. Mogłam  
płakać.

Czemu milczą? Czemu nie strzelają?

Na co był ten wysiłek, na co tylu poległych, jeśli War-  
szawa się poddaje. Jeśli Warszawa w gruzach, zabita...

Rano ktoś wszedł do pokoju. Otworzyłam oczy.

— Kto to? — spytał wojskowy lekarz, wskazując kapra-  
ła, którego wciąż jeszcze trzymałam za rękę.

— Żołnierz.

Pochylił się nad chłopakiem i zaraz się wyprostował.  
Kapral Wojciechowski nie żył.

— Czemu nie strzelają? — spytałam.

Doktor milczał chwilę, potem powiedział z trudem:

— Kapitulacja.

\*

Warszawo, zbudź się!  
Warszawo, przemów!  
łoskotem zenitówek, grzechotem cekaemów,  
grzmotami salw armatnich...  
Warszawo, tyś przecież Warszawa!  
Zbudź się, wstań, zęby zatnij  
i walcz!  
Jeszcze i my jesteśmy,  
a i my jeszcze nie ostatni,  
nie masz prawa!

J. 615/4SK

AK  
Warszawa

++

KOWALSKA Amela

ps. "Janka"

v) Wypisy ze źródeł - nazwiskowe karty  
informacyjne: 11

1.

2. \$65/Pom

3. Grudziądz  
W-wa

4. H. Kowalska Aniela

5.

6.

7. 1939 OKRĘG POMORZE 1945

8.

9. K

10. Grudziądz ul. Józefa Piłsudskiego 10/22

11.

12. Własne wspomnienia  
bez Ko 176

FUNDACJA  
ENERGIA  
ŻBIETY ZAWACKIE

Kowalska Aniela

ps. "JANKA"

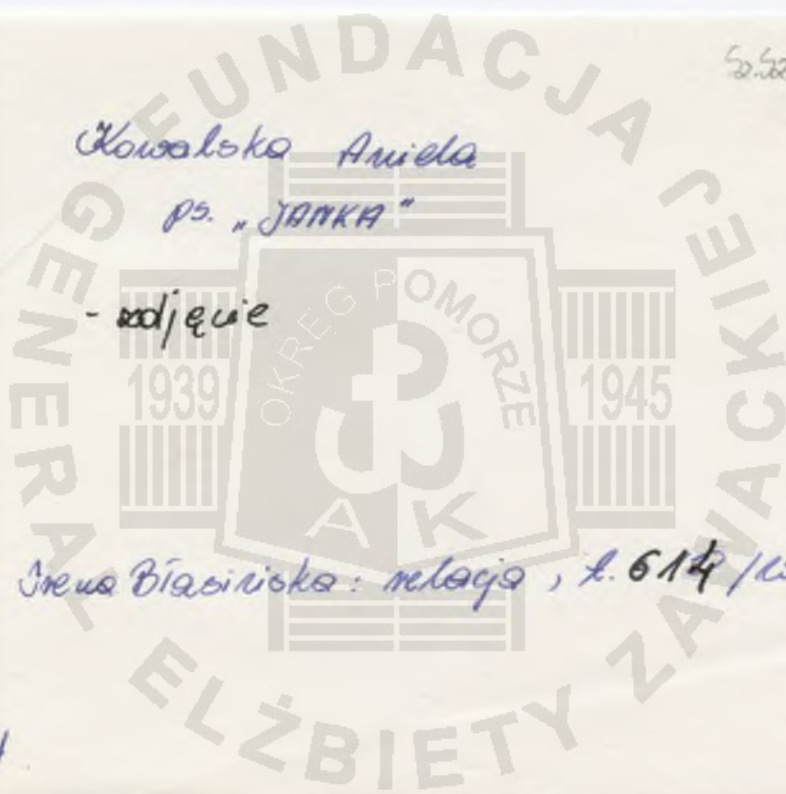
- zdjęcie

Stena Białosirska: melaja, k. 614/1222

K. Kiri 91

Sz. Sz. HK  
WJ-wo  
Paost.

V-2



KOWALSKA Aniela ps. "Janka"  
fajne wspomnienie

Grodziszka  
Właścicielka  
ZHP

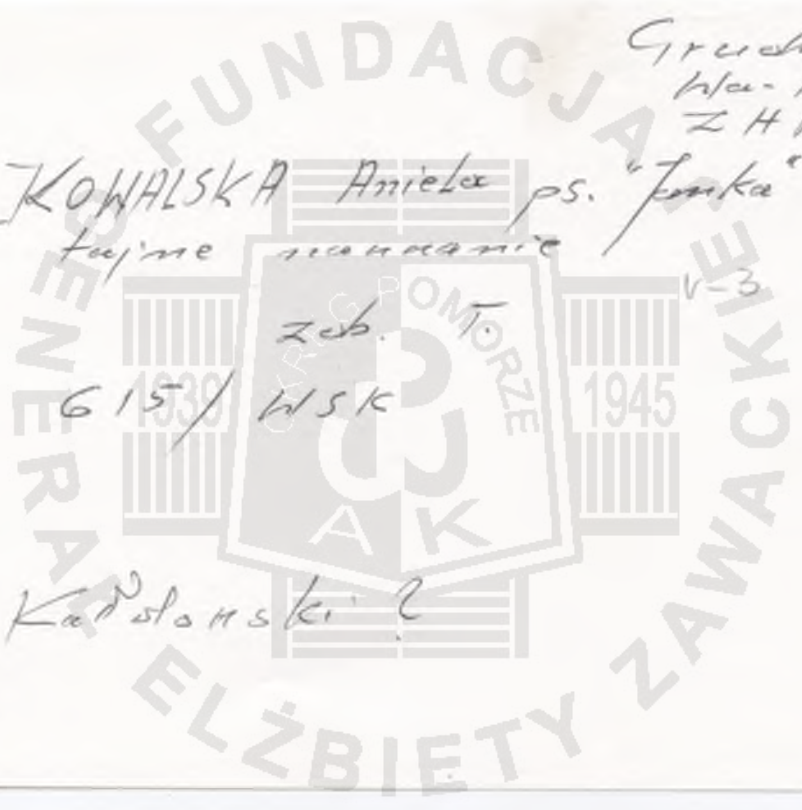
615/

WSK

zob.

T. R. Kadłowski

OM/68



HP

365 / Par 3

4 plm. Kowalska A. 5 V-4  
 6 ps. Anilda  
 7 Janina Kowalska  
 8 in apte domu 9 par. - amencioni tyko wiece  
 10 Pomorie 10/11/12  
 12 Inst. Hist. PAN: Harcerki, 39-45"

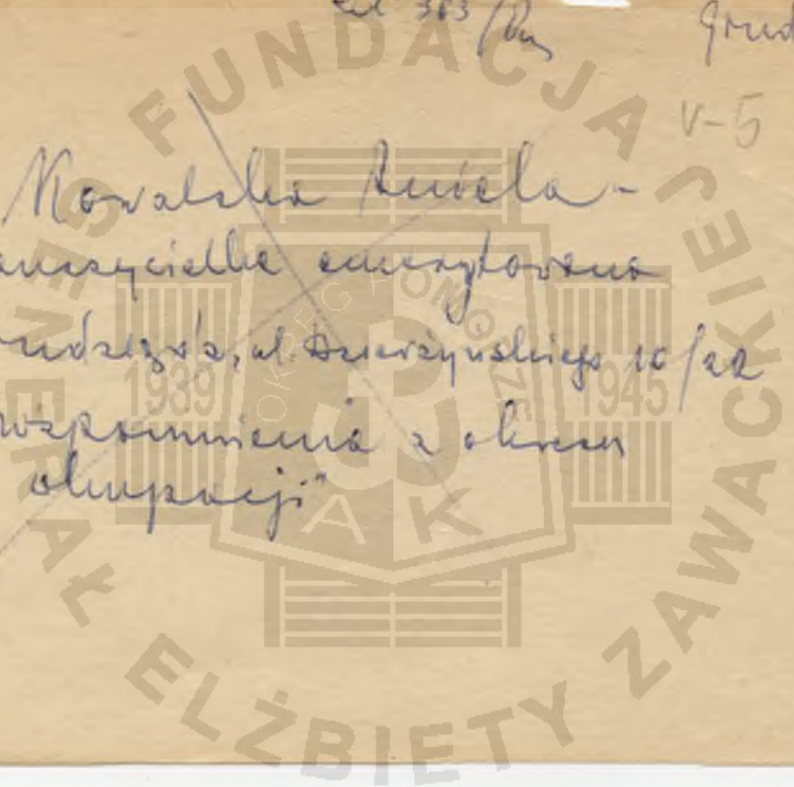
str. 62 K.A. maosweli - Down Diczka  
 w Konstantynie po opuszczeniu Pomorie  
 przez Komendanta <sup>choc</sup> i Sam Harcerch.

Del 363 / 100

Grudziądz

V-5

Nowalaska Kucela -  
naukowy i artystyczny  
Grudziądz, ul. Dworkowa 10/12  
"Wspomnienia z okresu  
okupacji"





Kochane Aniela Kotalskiej "Jasce"

p. B. Tasińska Barbara

V-6

00-666 H-W2



*Kowalska Aniela ps Janka*

*PK  
Lwa*

Dnia 14 lipca 1998 r. zmarła Nasza Najukochańsza  
Ciocia, Siostra

## **śp. Aniela Kowalska**

Harc mistrz Rzeczypospolitej,  
Żołnierz Armii Krajowej pseudonim Janka,  
Łączniczka Pogotowia Harcerskiego – Obrona  
Warszawy, Powstaniec Warszawski.

Wychowawca młodzieży,  
długoletni nauczyciel II LO im. Króla Jana III  
Sobieskiego w Grudziądzu. Odznaczona  
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia  
Polski, medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się dnia 18 lip-  
ca 1998 r. o godz. 12.15 Mszą świętą w kościele Św.  
Krzyża przy ul. Bydgoskiej w Grudziądzu. Ceremonia  
pogrzebowa o godz. 13.00 na cmentarzu przy ul. Cmen-  
tarnej.

Pograżona w bólu  
**SIOSTRZENICA, SIOSTRA z RODZINĄ**

1959/OG

A 201193

x

1998



Dnia 14 lipca 1998 r. zmarła Nasza Najukochańsza  
Ciocia, Siostra

## śp. Aniela Kowalska

Harc mistrz Rzeczypospolitej,  
Żołnierz Armii Krajowej pseudonim Janka,  
Łączniczka Pogotowia Harcerskiego – Obrona  
Warszawy, Powstaniec Warszawski.

Wychowawca młodzieży,  
długoletni nauczyciel II LO im. Króla Jana III  
Sobieskiego w Grudziądzu. Odznaczona  
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia  
Polski, medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się dnia 18 lipca 1998 r. o godz. 12.15 Mszą świętą w kościele Św. Krzyża przy ul. Bydgoskiej w Grudziądzu. Ceremonia pogrzebowa o godz. 13.00 na cmentarzu przy ul. Cmentarnej.

Pograżona w bólu  
SIOSTRZENICA, SIOSTRA z RODZINĄ

1959/03

14 1998

KOWALSKA ANIELA ps. Janka

gr. 615

v-8

AK

i

F. 615

AK  
H-16

7-1 1998

v-9

Dnia 14 lipca 1998 r. zmarła długoletnia zasłużona nauczycielka II Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Jana III Sobieskiego w Grudziądzu śp.

## **ANIELA KOWALSKA**

**Cześć Jej pamięci!**

Rodzinie Zmarłej serdeczne wyrazy współczucia składają:

**dyrekcja, nauczyciele, pracownicy  
oraz młodzież II Liceum Ogólnokształcącego  
im. Króla Jana III Sobieskiego w Grudziądzu**

rk223567

A Dg 198

† 1998

AK  
W-111

T

Dnia 14 lipca 1998 r. zmarła Nasza Najukochańsza  
Ciocia, Siostra

V-10

## śp. Aniela Kowalska

Harcistrz Rzeczypospolitej,  
Żołnierz Armii Krajowej pseudonim Janka,  
Łączniczka Pogotowia Harcerskiego – Obrona  
Warszawy, Powstaniec Warszawski.

Wychowawca młodzieży,  
długoletni nauczyciel II LO im. Króla Jana III  
Sobieskiego w Grudziądzu. Odznaczona  
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia  
Polski, medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się dnia 18 lip-  
ca 1998 r. o godz. 12.15 Mszą świętą w kościele Św.  
Krzyża przy ul. Bydgoskiej w Grudziądzu. Ceremonia  
pogrzebowa o godz. 13.00 na cmentarzu przy ul. Cmen-  
tarnej.

Pograżona w bólu  
SIOSTRZENICA, SIOSTRA z RODZINĄ

1 lipca 1998

kol. Kowalska Aniela V-M  
(okupie. Kowalska Janina)

Data urodz. gdzie  
Rodzice (ich zawód) nazw matki z domu  
Wykształcenie, płeć, gdzie, kiedy  
Zawód - chronologicznie - po wojnie.

18. VII 1911 r. Dane osobowe podane  
przez Kowalską Anielę  
dn. 10.2.81.

w Transzylanii L. Gierka  
w Transzylanii polsk.

Mąż: Marcin wuj wron.  
Aleksy Jan - technik melioracji

Hennryka z d. Butler, nauzacielka

1) emerytalna naucz. w Transzylanii

2) Studium Zawodne przy PWSB w Warszawie  
dyplom 1950 r. w Warszawie (hist. i filoz.)

pracowała do 1950 r. w Instytucie nr 3 w Warszawie

od II 1950 w II Lic. Ogólnokształcącej  
w Warszawie, do 1969 do emerytury

[REDACTED]  
KOWALSKA ANIĘLA

T. 615 / wsv

